

Abigail Gordon

Druga miłość

scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jak tu pięknie, myślała Henrietta, zjeżdżając ze wzgórza ku rozciągającej się u jej stóp wiosce, położonej po dwóch stronach wijącej się leniwie rzeczki. Lubiła tę okolicę, a perspektywa spędzenia kilku miesięcy w spokojnej wiejskiej społeczności działała na jej zranione serce niczym kojący balsam.

Świeże powietrze, niespieszny rytm życia, uśmiechnięci ludzie –jakaż to odmiana po Manchesterze, gdzie dotychczas pracowała w wielkiej poradni medycyny ogólnej. Kiedyś lubiła tamto gorączkowe miejskie życie, wiecznie przepełnioną poczekalnię, kontakty z różnymi typami ludzi poznawanymi podczas domowych wizyt, a potem powroty do pustego mieszkania. Ale wtedy był Miles.

Niedawny telefon starszej siostry w pierwszej chwili wprawił Henriettę w zakłopotanie. Pamela proponowała jej, aby zlikwidowała swoje sprawy w Manchesterze i sprowadziła się do jej wiejskiego domu w hrabstwie Cheshire, ponieważ ona musi towarzyszyć mężowi w kilkumiesięcznej misji dyplomatycznej, a nie ma z kim zostawić dzieci.

- Wiesz, moja droga, jak bardzo kocham Mollie i Keirana, ale muszę zarabiać - odparła. - Gdyby chodziło o dwa tygodnie, z radością bym się zgodziła,

ale nie stać mnie na to, żeby siedzieć beczynnie przez kilka miesięcy.

Pamela miała jak zwykle gotową odpowiedź.

- Mogłabyś zmienić pracę. W miejscowej poradni brakuje lekarza. A do tego potrzebują zastępstwa na kilka najbliższych miesięcy. Bo, widzisz, nie chcę zabierać dzieci ze szkoły przed końcem roku. A co do naszych dalszych planów, to po powrocie w lipcu będziemy się przygotowywać do wyjazdu na dłużej na placówkę w Skandynawii.

Henriette, gdy tego słuchała, stanęły w oczach zbudowane z kamienia, tonące w kwiatach wiejskie domy, przepływająca przez wioskę rzeka i wznoszące się wokół wzgórze. Pomyślała też, jak smutne stanie się jej życie po wyjeździe ukochanych siostrzeńców. Wobec takiej perspektywy szansa zamieszkania z nimi stała się pokusą, której trudno się oprzeć.

- Muszę się zastanowić - powiedziała.

- Oczywiście, byle nie za długo - odparła Pamela.

- Wyjeżdżamy za sześć tygodni, a ja nie będę miała spokoju, dopóki nie upewnię się, że zostawiam dzieci pod dobrą opieką. Zresztą tobie też przyda się odmiana. Ostatnio wydajesz się przygnębiona.

- A jak na wasz wyjazd zapatrują się dzieci?

- Henrietta wołała zmienić temat.

- Jeśli ty z nimi zostaniesz, będą uszczęśliwione. Wiesz, jak cię uwielbiają. No to jak? Mam zapytać w poradni o to zastępstwo?

- Czemu nie? Zapytaj - zgodziła się Henrietta.

- Ale nie ciesz się z góry, nie wiadomo, czy zechcą mnie przyjąć.

Tak się wszystko zaczęło, i dlatego dziś tu jestem, myślała dalej Henrietta, docierając do drogi biegnącej wzdłuż rzeki. Po tamtym pierwszym telefonie Pameli spędziła bezsenłą noc, wspominając swoje wizyty w domu siostry i szwagra i to, jak za każdym razem wracała do Manchesteru pod urokiem wiejskiego krajobrazu i miłej atmosfery tego miejsca. Istniały zresztą inne powody, dla których propozycja siostry przychodziła w samą porę.

Miles Somerby był jej sąsiadem, mieszkali w tym samym domu, na tym samym piętrze, niemal drzwi w drzwi. Był całkiem przystojny, mniej więcej w tym samym wieku co ona, a do jego zalet należał spokojny, nacechowany rezerwą sposób bycia.

Ich znajomość stopniowo nabierała kolorów. W Henriecie zaczynała rodzić się nadzieja, iż poznała wreszcie mężczyznę swego życia, z którym stworzy dom. Milesowi wyraźnie zależało na jej towarzystwie, spotykali się coraz częściej i wszystko byłoby cudownie, gdyby pewnego dnia do drzwi Henrietty nie zapukała jego była żona. Przyszła ją ostrzec, że Miles ma czteroletniego synka, którego nigdy nie odwiedza i zupełnie się nim nie interesuje.

- Może widywać naszego syna, kiedy zechce - oznajmiła osłupiałej Henriecie. - Georgie wciąż wypytuje o tatusia, ale Milesa to nie obchodzi. Jeśli ma pani wobec niego poważne zamiary, proszę nie oczekiwać, że zajmie się rodziną.

Po jej wyjściu Henrietta długo nie mogła się pozbyć. Miles nie raczył jej poinformować, że był żonaty i ma dziecko. Ona kochała dzieci i marzyła

o własnych, a tymczasem Miles nie ma czasu ani ochoty na to, by widywać własnego syna.

Kiedy zapytała go wprost, dlaczego zataił przed nią swe małżeństwo, najspokojniej w świecie odparł, że nie widział powodu, by jej o tym mówić. A gdy poruszyła sprawę zaniedbywania własnego syna, wzruszył tylko ramionami i powiedział, że nie przepada za dziećmi.

- Ale wiedziałeś, jak bardzo mnie na nich zależy - oburzyła się. - Wiesz, Miles, twoja żona oddała mi nieocenioną przysługę. Z nami koniec, zrywam z tobą. Z wcześniejszym małżeństwem jakoś bym się pogodziła, ale zaniedbywania dziecka nie jestem w stanie ci wybaczyć.

Po wyjściu Milesa długo płakała. Najbardziej bolało ją to, że ją oszukał. Od tamtej pory odczuwała pustkę w sercu. Zaczęła z większą podejrzliwością odnosić się do mężczyzn. Taki był stan jej ducha, kiedy zadzwoniła Pamela.

Radość z codziennego obcowania z siostrzenicą i siostrzeńcem złagodzi ból po bolesnym zawodzie, jaki sprawił jej Miles, myślała podczas bezsennej nocy. A po ich wyjeździe zostaną przynajmniej miłe wspomnienia. Pamela wiedziała, że może bezpiecznie zostawić dzieci pod jej opieką.

Kiedy następnego dnia oznajmiła przez telefon, że zna warunki ubiegania się o pracę w przychodni, Henrietta poprosiła o przysłanie jej dokumentów, i sprawy zaczęły się toczyć.

Miesiąc przed planowanym wyjazdem Pameli i jej

męża w przychodni odbyły się rozmowy z kandydatami do objęcia zastępstwa. Oprócz Henrietty o posadę ubiegało się kilku lekarzy.

- Jeżeli mnie nie przyjmą, będziesz musiała znaleźć inne rozwiązanie - oświadczyła siostrze. - Nie rzucę w ciemno obecnej pracy.

- Nie bój się, zostaniesz przyjęta - z właściwą sobie pewnością siebie odparła Pamela, a Henrietta nie po raz pierwszy w życiu pozazdrościła siostrze przekonania, iż wszystko musi się ułożyć po jej myśli.

Zresztą, dlaczego nie? Miała przecież kochającego, świetnie zarabiającego męża, piękny dom i dwoje przemiłych dzieci. A do tego nienaganna, bardzo kobiecą figurę. Henrietta czuła się przy niej jak chudy patyk, chociaż w rzeczywistości była smukłą, pełną gracji dwudziestodziewięcioletnią kobietą o piwnych oczach i kasztanowych włosach.

Rozmowy z kandydatami prowadził sympatyczny lekarz w średnim wieku, który wyjaśnił Henriecie, że musi na pewien czas opuścić poradnię, aby zająć się wiekowymi rodzicami, zaś jego nieobecny szef, który wyjechał do Pakistanu z ekipą niosącą pomoc po trzęsieniu ziemi, poprosił go o znalezienie dla siebie zastępstwa.

- Kiedy Matthew Cazalet wybierał się do Pakistanu, ja nie zdawałem sobie sprawy, że kłopoty rodzinne zmuszą mnie wkrótce do wyjazdu, i to na dłuższy czas - tłumaczył doktor John Lomas. - Postaram się dotrzeć do jego powrotu, lecz może się zdarzyć, że mój zastępca będzie musiał przez jakiś czas samodzielnie prowadzić poradnię.

Nie była to dla Henrietty zachęcająca perspektywa. Gdyby nie radosne powitanie, jakie po rozmowie zgotowali jej siostrzeńcy, kto wie, czy nie zmieniłaby decyzji. Więc choć nie zachwycało jej to, co usłyszała, postanowiła, że jeśli zaproponują jej posadę, przyjmie ją ze względu na dzieciaki. Wobec Pameli i jej męża robiła dobrą minę, lecz w głębi serca czuła się zagubiona i osamotniona.

Trzy dni później otrzymała z przychodni pozytywną odpowiedź i rozpoczęła gorączkowe przygotowania do przeprowadzki. Trzeba było złożyć wymówienie w pracy, wynająć mieszkanie, spakować się i wykonać sto innych czynności. Teraz jednak wszystko to miała już za sobą.

Zajmowana przez siostrę i szwagra okazała willa nosiła dumną nazwę „Biały Dom” i, pomijając fakt, iż nie była siedzibą amerykańskiego prezydenta, chyba w niczym nie ustępowała pierwowzorowi. Wokół domu rozciągały się wypielegnowane trawniki, a w wielkich, bogato umeblowanych pokojach Henrietta czuła się zawsze trochę niepewnie.

No trudno, musisz do tego przywyknąć, mówiła sobie, wjeżdżając w ozdobną bramę posiadłości. Tym razem przyjechałaś tu nie na weekend, ale na dłużej.

Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej doktor Lomas powiedział jej, że jego szefa zatrzymano w Pakistanie nieco dłużej, natomiast on sam postara się wprawdzie doczekać jej przyjazdu, lecz wyjedzie zaraz potem.

- Początek może być trudny - ostrzegł ją. - Zawał mojej matki, który zmusza mnie do wyjazdu, tak bardzo mnie absorbuje, że do przychodni wkradł się

bałagan. Ale gdy tylko wróci Matthew Cazalet, doceni pani uroki wiejskiej praktyki.

- Mam nadzieję, że tak będzie - odparła wtedy bez przekonania.

Teraz zaś przysłała godzina prawdy. Miała przeczuć, iż z dwóch nowych zadań, jakie ją czekały - opieki nad dziećmi i pracy wiejskiego lekarza - to pierwsze będzie nieporównanie łatwiejsze od drugiego.

- Przygotowałam dla ciebie najlepszą gościnną sypialnię. Kazałam wyprać zasłony i wyłożyć podłogę nową wykładziną - oznajmiła Pamela, witając wylewnie siostrę.

- Nie musiałaś sobie zadawać aż tyle trudu - rzekła Henrietta pięć minut później, stając na progu sypialni, w której mogłoby się pomieścić całe jej dotychczasowe mieszkanie. - Nie przywykłam do luksusów.

- Wiec korzystaj z okazji - roześmiała się Pamela. - Dzieci chciały dzisiaj nie iść do szkoły, żeby cię od razu powitać, ale im przypomniałam, że będą miały czas się tobą nacieszyć.

Henrietta ze wzruszeniem pomyślała o siostrzeńcach - sześcioletniej Mollie, która odziedziczyła po matce jasne włosy i karnację, i o rok starszym Keiranie z szopą rudych loków. Zarazem zdawała sobie sprawę, iż bierze na siebie poważny obowiązek.

W przychodni miała się stawić zaraz po weekendzie. Liczyła na to, że zastanie tam jeszcze Johna Lomasa, który wprowadzi ją w tajniki nowej pracy. Niewiadomą pozostawał nieobecny szef, Matthew Cazalet. Na jego korzyść przemawiał fakt, iż zdecydował się pojechać w trudną misję.

W korytarzu rozległ się głośny tupot i wesołe okrzyki. To wróciły dzieci, przywiezione przez sąsiadkę ze szkoły. Oboje rzucili się z radością w ramiona ciotki.

Henriette ze wzruszenia łzy napłynęły do oczu. Ze wzruszenia, ale i z żalu. Jeszcze niedawno miała nadzieję, że spotkała mężczyznę, z którym założy rodzinę i który będzie ojcem jej dzieci. Lecz on, jak się okazało, ojcem już był, ale tylko z nazwy.

- Co wiesz o tym Matthew Cazalecie? - spytała siostrę podczas kolacji. - Podobno pojechał do Pakistanu ratować ludzi po trzęsieniu ziemi.

- Tak słyszałam, ale nic więcej o nim nie wiem, ponieważ korzystamy z prywatnej opieki zdrowotnej. Cazaleta zaprosiłam kiedyś do nas na kolację, ale wymówił się pracą - odparła Pamela.

- Miejscowy pan doktor wymknął się z sieci zastawionej przez moją żonę, która chciałaby mieć wszystkich mieszkańców wioski u swoich stóp - z czułą ironią zauważył szwagier.

- Głupstwa mówisz, Charles - skarciła męża Pamela. - Zaprosiłam go, bo chciałam kogoś z nim wyswatać.

- Pan doktor zapewne da sobie radę bez twojej pomocy - mruknął Charles.

Henrietta uznała, że najwyższy czas zmienić temat. Niewiele się dowiedziała o swoim nowym szefie, ale to, co usłyszała, nie brzmiało zachęcająco. Nie mówiąc już o konieczności oswojenia się z tym, że stosunki z pacjentami w małej miejscowości będą znacznie bardziej osobiste niż w wielkim mieście.

Nadszedł poniedziałkowy poranek. Już w sobotę, kiedy Pamela i Charles wyjechali, Henrietta została sama z Mollie i Keiranem. W niedzielę wszyscy razem pływali w basenie na tyłach domu, a po południu ciotka zabrała dzieci na piknik.

Były uszczęśliwione. Biegały swobodnie po wrzosowiskach, wykrzykując głośno na widok pasących się owiec. Nieco wyżej na stoku wzgórze stał samotny dom, a jeszcze dalej widniały zabudowania gospodarskie dwóch farm. Pomyślała, że gdyby na którejś z nich ktoś zachorował zimą, kiedy spadnie śnieg, dotarcie do pacjenta stanowiłoby poważny problem. Ale zimą jej już tu pewnie nie będzie.

Ranek upłynął bez zakłóceń. Obecność ukochanej ciotki osłodziła dzieciom rozstanie z rodzicami. Po śniadaniu Henrietta odwiozła siostrzeńców do szkolnego autobusu, który zabierał okoliczne dzieci do prywatnej szkoły.

Po południu gosposia miała ich odebrać z autobusu i zostać z nimi w domu aż do powrotu Henrietty. Wszystko to było z góry ułożone przez Pamelę. Henrietta miała dopiero wieczorem poznać gosposię, która pod czujnym okiem siostry utrzymywała w domu ład.

Kiedy Henrietta dotarła do przychodni, John Lomas już na nią czekał.

- Jest mi niezmiernie przykro, ale zostanie pani sama - uprzedził na wstępie. - Muszę natychmiast jechać do matki, bo jej stan gwałtownie się pogorszył. Judy, to nasza recepcjonistka, wszystko pani pokaże, a personel będzie służył pomocą. Zresztą

doktor Cazalet jest już w drodze i wkrótce powinien się pokazać. No jak, poradzi sobie pani?

- Nie mam wyjścia - odparła cierpko. - Przykro mi z powodu pana matki i mam nadzieję, że pogorszenie jest tylko chwilowe. Rozumiem, co musi pan przeżywać, bo sama niedawno straciłam matkę.

Podziękowawszy jej uśmiechem, lekarz szybko się pożegnał i Henrietta została sama. Była mocno zirytowana nieobecnością szefa. To bardzo pięknie ze strony doktora Cazaleta, że pojechał pomagać Pakistańczykom, ale byłoby może lepiej, gdyby nie zapominał o swoich obowiązkach wobec własnych pacjentów, a także wobec niej.

- Czy mogę wybrać sobie dowolny gabinet? - spytała recepcjonistkę.

- Chyba tak, skoro nie ma naszych lekarzy. Teraz pani tu decyduje - odparła Judy. Przeżegnawszy się w duchu, Henrietta weszła do najbliższego gabinetu. - Pójdę po karty pacjentów, dobrze? - spytała recepcjonistka.

- Oczywiście, ale proszę mi najpierw powiedzieć, ile mamy pielęgniarek? Na wypadek, gdybym musiała któregoś z pacjentów posłać na zabieg - zainteresowała się Henrietta.

- Mamy dwie pielęgniarki i obie są na stanowisku - zapewniła ją Judy.

- Dobrze wiedzieć, że ktoś tu jednak pracuje - cierpko skomentowała Henrietta.

Matthew Cazalet był na ostatnich nogach. Miesiąc pracy wśród pozbawionych dachu nad głową ofiar trzęsienia ziemi wiele go kosztował. Jednakże z po-

wodu rodzinnych problemów Johna musiał wrócić z Pakistanu wcześniej, niż zamierzał. W ostatniej rozmowie telefonicznej John powiedział, że postara się doczekać jego powrotu oraz że zatrudnił na swoje miejsce przyjeźdnego lekarza.

Więc chociaż marzył, aby po długiej podróży znaleźć się jak najszybciej we własnym domu, postanowił sprawdzić najpierw, co dzieje się w przychodni. Ale ponieważ był brudny i nieogolony, a jego od tygodni niestrzyżone włosy wołały wprost o fryzjera, postanowił wkraść się do środka bocznym wejściem. Nie chciał się w tym stanie pokazywać pacjentom.

Jego uwagę z miejsca przykuły dochodzące z poczekalni podniesione głosy. Jeden należał do znanego z kłótności farmera Gregory'ego Hicksa, a drugi do recepcjonistki. Matthew zmarszczył z niezadowoleniem brwi, zastanawiając się, dlaczego John nie kładzie kresu kłótni.

Drzwi jego gabinetu były otwarte na oścież. Matthew zbliżył się i stanął w progu jak wryty: za jego biurkiem siedziała obca kobieta. Zbyt zmęczony i zirytowany, by wdawać się w uprzejmości, zapytał ostro:

- Co pani tu robi? Gdzie jest John i ten Henry jakiś tam, który ma go zastępować?

Henrietta wolno podniosła się zza biurka. Jeżeli ten nieokrzesany brudas jest jej nowym szefem, to ładną posadę sobie wybrała!

- Chyba mieliście bardzo złe połączenie telefoniczne, bo pański kolega nie zatrudnił żadnego Henry'ego jakiegoś tam, tylko mnie, Henriettę Mason - odparła z godnością. - Powinien pan wiedzieć, że znalazłam się w pierwszym dniu pracy w pańskiej

przychodzi zupełnie sama, ponieważ doktor Lomas musiał rano wyjechać do matki, której stan uległ nagłemu pogorszeniu. A jeśli chodzi o sprzeczkę w poczekalni, to właśnie miałam zobaczyć, co się tam dzieje i zaprowadzić spokój.

- Wobec tego przepraszam. Byłem zaskoczony i stąd to nieporozumienie. Wszedłem bocznymi drzwiami, bo właśnie przyjechałem i nie chciałem się w tym stanie pokazywać pacjentom. Wpadłem tylko na chwilę, żeby się upewnić, czy poradnia funkcjonuje jak należy.

- I dowiedział się pan, że tak nie jest.

- Wrócę za pół godziny, jak tylko wezmę przysznic i się przebiorę - oznajmił, pomijając jej złośliwą uwagę milczeniem. - Rozumiem, że radzi sobie pani z przyjmowaniem pacjentów.

- Oczywiście. - Nie będzie go informować, że przyjęcia w wiejskiej poradni to czysta zabawa w porównaniu z tym, z czym miewała do czynienia w Manchesterze. - Właśnie przygotowywałam się do wizyt domowych, ale ponieważ nie znam okolicy, pański powrót nastąpił w najstosowniejszym momencie.

Doktor Cazalet zmarszczył czoło. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tego rodzaju uwag ze strony podwładnych.

- Proszę poczekać, będę za pół godziny - zadysonował krótko.

- Oczywiście, jak pan sobie życzy.

Jadąc do domu taksówką, którą przyjechał z lotniska i która czekała na niego przed przychodnią, Matthew musiał pogodzić się z myślą, że po wzięciu

prysznicą nie położy się do łóżka. Nie taką sytuację spodziewał się zastać - John wyjechał, a zamiast oczekiwanego doktora Henry'ego pojawiła się długonoga doktor Henrietta o bujnych kasztanowych włosach, która nie kryła swego niezadowolenia.

To nic, powiedział sobie, zaraz wezmę sprawy w swoje ręce i wszystko wróci do normy. W tym momencie taksówka się zatrzymała. Patrząc na swój mały, okropnie zaniedbany dom, w którym mieszkał samotnie od śmierci Joanny, pomyślał nie po raz pierwszy, iż powinien się wreszcie pogodzić z utratą ukochanej żony.

Gdy ujrzał ją wtedy na dnie urwiska, w jednej chwili pojął, że odeszła na zawsze. Stało się to podczas wycieczki szkolnego klubu wędrowników, kiedy rozbrykany nastolatek zsunął się nieopatrznie z krawędzi urwiska w rosnące poniżej krzaki. Joanna usiłowała go ratować, lecz przerażony chłopak chwycił ją za rękę i pociągnął tak mocno, że straciła równowagę i runęła w dół. Od tego czasu minęły trzy lata, lecz jego rozpacz po stracie żony nie mijała. Za każdym razem, gdy wspominał ich wspólne plany, w których ważne miejsce zajmowało posiadanie dzieci, jego serce przenikał dojmujący ból.

Wszedłszy do kuchni, rozpogodził się nieco, gdy przeczytał leżącą na stole kartkę: „Witaj w domu! Upiekłam ci ciasto. Resztę znajdziesz w zamrażalniku. Całuję, ciotka Kate.”

Kate Crosby była młodszą siostrą jego matki, która odumarła go, gdy miał dwanaście lat. Niedługo potem ojciec ożenił się powtórnie i wyjechał na stałe z kraju, a wychowaniem chłopca zajęła się ciotka

Kate. Zaś od trzech lat, odkąd zabrakło Joanny, otoczyła go znowu matczyną opieką.

Ciotka była kobietą wielkiej dobroci i energii, którą spożytkowywała między innymi jako gospodyni w zamożnych miejscowych domach. Ostatnio pracowała u państwa Wainwrightów, których Matthew znał tylko z widzenia, ponieważ nie korzystali z miejscowej przychodni. Raz wprawdzie zaprosili go do siebie na kolację, lecz było to wkrótce po śmierci Joanny, kiedy towarzyskie rozrywki nie były mu w głowie, więc wymówił się nadmiarem pracy.

Wychodząc z kuchni, zobaczył swoje odbicie w lustrze i przestraszył się własnego wyglądu. Aż dziw, że Henrietta nie wezwała policji na widok takiego dzikusa. Od paru tygodniu nie dosypiał i nie dojadł, nie miał czasu na golenie się czy strzyżenie. Najważniejsze było zaspokajanie potrzeb niekończącej się rzeszy ofiar trzęsienia ziemi. Ale, o dziwo, pośród otaczającego go nieszczęścia po raz pierwszy od śmierci Joanny przestał nieustannie myśleć o własnej tragedii.

Kiedy po trzech kwadransach wrócił do lecznicy umyty i przyzwoicie ubrany, Henrietta nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Jej nowy szef najwyraźniej w razie potrzeby potrafi się zmobilizować. Zadała sobie pytanie, czy w domu czekała na niego żona, która nakarmiła go i pomogła doprowadzić się do porządku, lecz nie była to stosowna pora na zastanawianie się nad prywatnym życiem świeżo poznanego mężczyzny.

- Jedna z domowych wizyt była pilna, więc odbyłam ją, nie czekając na pana powrót - oznajmiła.

- O! - zdziwił się. - U kogo pani była?

- U starszego pana mieszkającego daleko stąd w wiejskim domu wśród pól. Na ogrodzeniu wisały martwe lisy.

- A, u Jacka Yardleya. Ma bzika na punkcie zwalczania szkodników. Ale co mu się stało? Jest silny jak byk i na ogół nie zadaje się z lekarzami.

Henrietta uśmiechnęła się, a Matthew pomyślał, że ma wyjątkowo piękne oczy.

- Tym razem musi. Jest teraz pod opieką pielęgniarstwa - odparła. - Rozłataratał sobie rękę o kolczasty drut. Zapisałam mu antybiotyki i mam nadzieję, że to plus zabiegi pielęgniarstwa zapobiegnie zakażeniu.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją, siadając za biurkiem. - Yardley to dziwak, żyje jak pustelnik. Ale proszę opowiedzieć mi o sobie. Gdzie pani dotąd pracowała?

- W dużej przychodni w Manchesterze.

- A dlaczego przeniosła się pani do nas?

- Bo tutaj mieszka moja siostra, a ponieważ musiała na kilka miesięcy wyjechać za granicę z mężem, który jest dyplomata, poprosiła, żebym pod ich nieobecność zajęła się dziećmi.

- Jest pani spokrewniona z Wainwrightami?

- Owszem. Jestem siostrą Pameli.

- Uhm - mruknął. - Zmieniła pani pracę, żeby pójść jej na rękę?

- Tak, ale zrobiłam to bez żalu. Zawsze jej zazdrościłam, że mieszka w tak pięknym miejscu. A poza tym przepadam za Mollie i Keiranem, więc opieka nad nimi będzie dla mnie prawdziwą radością. Co do reszty, to mam bardzo mieszane uczucia - zakończyła chłodno.

- Rozumiem, że to aluzja do sytuacji, jaką zastała pani w przychodni. Chciałbym panią uspokoić. Nie pojechałem do Pakistanu dla zabawy, ale po to, żeby pomagać ludziom w rozpaczliwej sytuacji. Byłem przekonany, że zostawiam lecznicę w doświadczonych rękach Johna.

- Rozumiem. To, co pan zastał w Pakistanie, musiało być koszmarem.

- I nadal jest, ale przynajmniej coś zrobiłem. Muszę panią przeprosić za swoje zachowanie. Byłem zaskoczony nieobecnością Johna, a odgłosy awantury dodatkowo wytrąciły mnie z równowagi. - Matthew uśmiechnął się, a ona mimo woli odpowiedziała mu tym samym. - No to jak, między nami zgoda?

- Nie mam wyjścia. Muszę zarabiać na życie - odparła.

Mogłaby powiedzieć o sobie coś więcej, lecz nie widziała powodu. Po co miałyby się zwierzać obcemu, nieco władczemu lekarzowi o zmęczonych oczach?

- W porządku. Wobec tego proponuję wspólny objazd chorych - oświadczył stanowczym tonem. - Przed kilka pierwszych dni, dopóki nie pozna pani okolicy, będziemy razem odbywać domowe wizyty. No i mówmy sobie po imieniu, tak będzie łatwiej.

Henrietta skinęła głową. Rozmowa uspokoiła ją i było jej teraz przykro, że tak ostro go potraktowała. Swoim wyjazdem do Pakistanu Matthew Cazalet pokazał, jak poważnie traktuje swe lekarskie powołanie, a udając się tam, nie mógł przewidzieć, że jego partner znajdzie się w trudnej sytuacji rodzinnej.

Kiedy jechali główną ulicą wioski, Matthew pomyślał, że siedząca obok niego kobieta nie pasuje do rodziny Wainwrightów. Pamela Wainwright była z gruntu poczciwym człowiekiem, lecz zachowywała się jak wielka dziedziczka, a jej mąż dyplomata lubił zadzierać nosa.

Henrietta wkrótce się dowie, że Kate jest jego ciotką, a Kate będzie pewnie nie mniej zdziwiona niż on, kiedy zobaczy siostrę Pameli Wainwright.

Po paru minutach Matthew zaparkował przed drewnianym budynkiem stojącym na wielkim pustym placu naprzeciw wiejskiej stacji kolejowej. Na twarzy Henrietty odmalowało się zdziwienie.

- Dawniej był tu targ bydła, a Marslandowie, młode małżeństwo, które przejęło posiadłość i założyło tutaj bar z restauracją, stara się zachować dawny styl wnętrza - wyjaśnił. - Włożyli w jego urządzenie wszystkie pieniądze ze sprzedaży domu i w rezultacie muszą mieszkać w przyczepie samochodowej na końcu posesji. Ale zaraz wszystko zobaczysz. Dowiemy się, jak się miewa Jackie Marsland.

Weszli do środka. Wnętrze restauracji było podzielone na kubiki przypominające boksy dla bydła, podłogę wysłano sianem, a na kontuarze stały czarki na mleko wypełnione łakociami domowej roboty oraz smakowicie wyglądające kanapki.

- Dzień dobry, panie doktorze - powiedział na ich widok stojący za barem młody człowiek. - Jackie została w przyczepie, ma silne bóle brzucha.

Udali się więc do przyczepy, gdzie Henrietta ujrzała kobietę mniej więcej w swoim wieku, leżącą na wbudowanym w ścianę łóżku.

- Od kiedy odczuwasz ból brzucha? - zapytał Matthew.

- Zaczęło się dziś rano, jak tylko wstałam.

- Masz biegunkę?

- Nie. To chyba nie żołądek. Jestem w dwunastym tygodniu ciąży i strasznie się boję, żeby nie stracić dziecka.

- Krwawisz? - kontynuował wywiad.

- Troszeczkę. - Młoda kobieta spojrzała pytająco na Henriette. - Kim jest ta pani?

- To doktor Henrietta Mason - odpowiedział.

- Może wolisz, żeby ona cię zbadała?

- Nie, nie tym się przejmuję - odparła Jackie, powstrzymując łzy. - Ale czuję się winna. Nie planowaliśmy dziecka, nie stać nas jeszcze na zakładanie rodziny i w rezultacie, zamiast się cieszyć, że jestem w ciąży, martwiłam się tylko, jak sobie poradzimy. A teraz, kiedy grozi mi poronienie, wyrzucam sobie tamte myśli.

- Przykro mi, Jackie, ale muszę cię odesłać do szpitala - rzekł łagodnie Matthew po badaniu. - Nie rób sobie wyrzutów. Wiele kobiet reaguje podobnie jak ty. To nie twoja wina, że okoliczności nie pozwoliły ci cieszyć się tym, że zaszłaś w ciążę.

- Miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy - powiedziała na pożegnanie Henrietta, a idąc z Matthew w kierunku restauracji, pomyślała z zadowoleniem, że mimo złego początku praca z lekarzem tak troskliwie podchodzącym do pacjenta powinna ułożyć się lepiej, niż przypuszczała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Za każdym razem, kiedy w trakcie objazdu chorych wsiadali do samochodu i w powietrzu rozchodził się zapach perfum Henrietty, serce Matthew przeszywał dotkliwy ból. Był to zapach ulubionych perfum jego tragicznie zmarłej żony. W dodatku nie mógł zrozumieć, dlaczego nowa lekarka, która, pomijając oczy, nie odznacza się niczym szczególnym, używa do pracy tak kosztownych perfum.

- Jak się te perfumy nazywają? - zapytał.

Było to ostatnie pytanie, jakie Henrietta spodziewała się usłyszeć. Ale może zapach mu się spodobał i chce kupić takie same swojej żonie albo ukochanej?

- Nazywają się „Przeznaczenie” - odrzekła. - Dlaczego pytasz? Bo jeśli ich zapach ci przeszkadza, powiedz wprost.

- Nie, wcale nie. Ale przy łóżku chorego mogą się wydać trochę zbyt... wyszukane — powiedział, choć czuł, że to mało przekonujące wyjaśnienie.

- Rozumiem i nie będę ich używać do przychodni - odparła ze spokojem. - Po prostu dostałam te perfumy na gwiazdkę i bardzo mi się spodobały. Ale zachowam je na okazje towarzyskie, choć nie spodziewam się ich tutaj zbyt wielu.

Wkrótce potem zakończyli domowe wizyty i Matthew zapytał:

- Jakie masz plany na lunch? Wracasz do domu? A może zjemy coś w restauracji Marslandów?

- A ty gdzie normalnie jadasz lunch?

- Przegryzam coś po drodze albo kupuję kanapkę. Dzisiaj jednak chciałbym zajrzeć do Marslandów i powiedzieć mężowi Jackie, że chętnie zastąpię go wieczorem w restauracji, żeby mógł pojechać do żony do szpitala. Dziewczyna nie ma rodziców ani krewnych, a lokal jest otwarty do ósmej wieczorem i nie mogą go wcześniej zamknąć, bo stracą klientów.

- Jedź sam. Dziękuję, ale chyba kupię sobie kanapkę - odparła Henrietta, myśląc, że powinna prześleć sobie w spokoju wrażenia dzisiejszego dnia.

Jadąc do restauracji Marslandów, Matthew robił sobie wyrzuty z powodu swojej uwagi na temat perfum. Henrietta nie mogła wiedzieć, że znajomy zapach obudzi w jego sercu bolesne wspomnienia. Pewnie pomyślała, że się czepia albo chce jej dokuć za to, że rano zajęła jego gabinet. Ich pierwszy kontakt w ogóle nie wypadł najlepiej, miał jednak nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży. Najważniejsze, żeby nowa pani doktor okazała się dobrym lekarzem.

Po zakończeniu popołudniowego dyżuru Matthew marzył już tylko o położeniu się do łóżka. Pacjenci zajęli mu wyjątkowo dużo czasu, ponieważ wszyscy byli ciekawi wrażeń z Pakistanu, a ponadto nader wylewnie okazywali radość z powodu jego powrotu. Było to oczywiście bardzo miłe, ale zarazem męczące.

ce. Wrócił do domu kompletnie wyczerpany. Położył się na chwilę na kanapie i natychmiast zasnął.

Obudził go głos Kate.

- Chwała Bogu, wróciłeś. Nareszcie spokojnie zasnął, wiedząc, że nic ci nie grozi.

- Cześć, ciociu, dobrze cię znowu zobaczyć - odparł z uśmiechem. - Nie masz pojęcia, ile razy myślałem o twoich stekach i puddingach dodawała mi siłę i pozwalała przetrwać najgorsze chwile.

- Jeden z puddingów właśnie dochodzi w piekarniku. Do tego zrobiłam ci na powitanie twój ulubiony *creme brulee*. Musisz się pospieszyć, żeby zdążyć do restauracji Marslandów. Biedna Jackie! Mam nadzieję, że nie straci dziecka. Chodź, jedzenie czeka na stole. - Podawszy kolację, zapytała: - Chcesz usłyszeć ostatnie nowinki?

- Na przykład to, że nowa lekarka jest siostrą Pameli Wainwright? - spytał z lekkim przekąsem.

- Skąd wiesz? Zdążyłeś ją poznać?

- Uhm. Chyba niezbyt mnie polubiła.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, kiedy przyszła rano do pracy, okazało się, że John musi natychmiast wyjechać do matki, której stan się pogorszył, a niedługo potem twój siostrzeniec wpadł do przychodni prosto z drogi, wyglądając jak nieboskie stworzenie, a na widok panoszącej się w jego gabinecie obcej osoby zachował się niezbyt elegancko. Na koniec wyszło na jaw, że pani doktor jest krewną Wainwrightów.

- Ja też zdążyłam ją już poznać - rzekła Kate. - Obiecałam Pameli, że będę po południu odbierać dzieci ze szkolnego autobusu i zostawać z nimi

w domu do powrotu Henrietty, która zupełnie nie przypomina siostry. Jest bardzo naturalna i bezpośrednia. Do tego przepada za dziećmi, a one za nią.

- Co ty powiesz? - zdziwił się Matthew. - Albo mówimy o dwu różnych osobach, albo mnie udało się nadebrać jej na odcisk.

Kate Crosby od pierwszej chwili spodobała się Henriecie, a już całkiem ją podbiła, mówiąc, że w niczym nie przypomina swojej siostry.

- To prawda. Ja reprezentuję biedniejszy odłam rodziny - odparła Henrietta ze śmiechem. - Ale niekiedy bywam przydatna.

- Szkoda, że Henny mieszka tak daleko i rzadko ją widzimy - wtrąciła Mollie, a Keiran gorąco jej przytaknął.

Teraz dzieci już spały. Ona też położyła się do łóżka, lecz sen nie przychodził. W głowie kołowały jej wspomnienia minionego dnia, a zwłaszcza chwil spędzonych w towarzystwie Matthew Cazaleta.

Kate zdążyła ją poinformować, iż jest jego ciotką, a z tonu, jakim mówiła o swoim siostrzeńcu, Henrietta wywnioskowała, że jest do niego bardzo przywiązana. Nie wspomniała natomiast ani słowem o jego sytuacji rodzinnej, a Henriecie nie wypadało wypytywać. Swoją ciekawość tłumaczyła sobie okolicznościami pierwszego spotkania. W końcu zasnęła, zastanawiając się, co jej przyniesie kolejny dzień.

Dzieci należało odstawić na przystanek autobusu o ósmej rano, toteż Henrietta mogła bez trudu zdążyć na czas do przychodni. A raczej mogłaby, gdyby

Keiran nie zapomniał zabrać zeszytu z wypracowaniem.

Musiła wrócić z chłopcem do domu, a następnie pędzić za autobusem do następnego przystanku, i w rezultacie spóźniła się do pracy o dobry kwadrans.

Zorientowawszy się, że Matthew zaczął już przyjmować pacjentów, pobiegła do gabinetu, który zajęła wczoraj po południu. Upewniwszy się, że karty pacjentów leżą na jej biurku, wzięła dla uspokojenia głęboki oddech i poprosiła pierwszego z oczekujących.

Zdawała sobie sprawę, że Matthew ma swoich stałych pacjentów, a do niej będą trafiać osoby raczej przypadkowe, które przyszyły w ostatniej chwili albo którym było wszystko jedno, kto ich przyjmie.

Nie zdążyła sprawdzić, czy ktoś z chorych zrezygnował z wizyty, gdy się dowiedział, że jeden stały lekarz jest nieobecny, a drugi ma już komplet pacjentów. Jakkolwiek było, zamierzała dać się bliżej poznać i znaleźć sobie w przychodni swoje miejsce. Z tym postanowieniem starała się zapamiętywać twarze nowo poznawanych pacjentów. A ponieważ czuła, że pośpiech spowodowany dzisiejszym spóźnieniem nie sprzyja realizacji tego zamiaru, przysięgła sobie sprawdzać rano przed wyjazdem z domu, czy któreś z dzieci znowu czegoś nie zapomniało.

- A więc to pani jest tą nową lekarką - zagadnął otyły mężczyzna w średnim wieku, sadowiąc się na krześle naprzeciw biurka Henrietty.

- Tak, witam pana. Pan... - zaczęła, zaglądając do karty pacjenta — Warburton, czy tak? Co panu dolega?

- Nic szczególnego. Biorę lekarstwa na cukrzycę

i co pewien czas muszę zrobić badania kontrolne. Po to przyszedłem.

- Rozumiem. A jak pan sobie radzi ze swoją chorobą?

- Oj, nie jest lekko - westchnął mężczyzna. - Okropnie lubię słodczyce i gdyby żona nie trzymała mnie na ścisłej diecie, dawno bym się wykończył.

- A nie próbował pan schudnąć?

- Jestem na niskotłuszczowej diecie.

- A zażywa pan ruchu?

- Boję się, że nie dosyć.

- Wiem, jak trudno zacząć się odchudzać - zauważyła. - Trzeba do tego siły woli i samozaparca. Jednakże nawet niewielka utrata wagi przynosi na ogół pacjentom wiele satysfakcji i pobudza do kontynuowania kuracji. Ale wracając do pańskiej dzisiejszej sprawy, to chyba trzeba było zwrócić się z tym do pielęgniarek podczas porannego dyżuru dla diabetyków.

Mężczyzna popatrzył na nią z wyraźną niechęcią.

- Pewnie, że tak - odburknął. - Ale dyżur odwołano, o czym nikt nie raczył mnie zawiadomić. Dlatego domagam się, żeby pani zrobiła mi badania. Mieszkam daleko na wzgórzach i nie będę jeździć na próżno tam i z powrotem.

Henriecie zrobiło się wstyd. Gdyby się nie spóźniła, wiedziałaby o odwołaniu porannego dyżuru. Trzeba go ugłaskać, żeby nie złożył na nią skargi.

- Wobec tego zaczniemy od pobrania krwi - powiedziała uprzejmie. - A potem poproszę pana o zdjęcie butów i skarpetek, żebyśmy mogła obejrzeć stopy.

Po skończonym badaniu Fred Warburton oświadczył na pożegnanie:

- Na pani miejscu domagałbym się pełnych informacji o tym, co dzieje się w przychodni.

- Na pewno będę o tym pamiętała - odparła bez zajknięcia. - Do widzenia panu.

- Co się stało? - zapytał Matthew, kiedy po skończeniu porannego dyżuru usiedli razem wypić kawę. - Wczoraj ja się spóźniłem, a dzisiaj ty. Zaspałaś?

W eleganckim garniturze, wykrochmalonej koszuli i dyskretnym krawacie wygląda znakomicie, pomyślała Henrietta. Jego włosy nadal wymagają interwencji fryzjera, ale przecież od wczoraj nie miał chwili dla siebie. Zarazem w jego oczach dostrzegła wesoły, przekorny błysk.

- Nie, nie zasnęłam, ale kiedy odwoziłam dzieci na przystanek, okazało się, że Keiran zapomniał zeszytu z pracą domową, no i musieliśmy wracać, a potem doganiać autobus. To się więcej nie powtórzy, masz moje słowo. Rano przed wyjazdem będę codziennie sprawdzać, czy któreś z nich czegoś nie zapomniało.

Matthew pokiwał głową.

- Ile on ma lat?

- Keiran? Siedem.

- Wcześniej na pisanie prac domowych - zauważył. - Ale nie mam dzieci, więc nic nie wiem o zmianach w systemie nauczania. A swoją drogą trzeba mieć wiele odwagi, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za cudze dzieci.

- Tego się nie boję. Mogę im poświęcić cały swój

wolny czas. Oczywiście po godzinach pracy. A skoro już o tym mowa, to muszę się przyznać, że przez swoje spóźnienie nie wiedziałam o odwołaniu dzisiejszego dyżuru dla diabetyków. Jeden z pacjentów poskarżył się, że go o tym nie uprzedzono. Oświadczył, że mieszka za daleko, żeby jeździć na próżno i wobec tego ja muszę go zbadać. W dodatku wytknął mi złośliwie brak orientacji w tym, co dzieje się w przychodni.

- To musiał być Fred Warburton. Musieliśmy odwołać ten dyżur, bo jedna pielęgniarka jest na urlopie, a druga nagle zachorowała. Dzwoniliśmy do Warburtona, ale był już w drodze. Niemniej zwrócę recepcjonistce uwagę, że powinna była cię uprzedzić.

- Pewnie mnie nie zauważyła. Wprawdzie nie wkradłam się bocznymi drzwiami - oznajmiła, rzucając znaczące spojrzenie - ale przemknęłam się bardzo szybko, bo nie chciałam zwracać na siebie uwagi. O tym, że jestem, zorientowała się dopiero wtedy, kiedy wezwałam pierwszego pacjenta. Więc jeśli o czymś nie wiedziałam, to wyłącznie z własnej winy.

Idąc z nią do samochodu, Matthew pomyślał z uznaniem, że Henrietta umie wziąć na siebie odpowiedzialność za swe czyny. Mogła bez trudu winą za swoją niewiedzę obarczyć recepcjonistkę, lecz tego nie zrobiła.

- Powiedziałaś, że twoi siostrzeńcy korzystają z autobusu, więc nie chodzą do wiejskiej szkoły - zauważył, kiedy wsiedli do auta.

- Tak, uczą się w prywatnej szkole niedaleko granicy hrabstwa Derby z Cheshire.

Spochmurniał, ale nie kontynuował tematu, a jego spojrzenie spoczęło na grupce przechodzących ulicą dzieciaków. Nie łobuzowali, odwrotnie, powitali go machaniem rąk, on jednak tylko skinął głową i włączył silnik.

- W którym miejscu mieszkasz? - spytała Henrietta, kiedy jechali przez wioskę. - Ty już wiesz, gdzie mnie szukać, ale ja nie wiem, gdzie mogę znaleźć ciebie. Mieszkasz z ciotką? Wczoraj ją poznałam.

- Nie, mieszkam sam.

- Aha. A gdzie?

- Zaraz będziemy przejeżdżać koło mojego domu. Jest mały i bardzo zaniedbany. Kupiliśmy go z żoną zaraz po ślubie, bo uważaliśmy, że można z niego zrobić coś naprawdę ładnego, ale odkąd zostałem sam, urządzenie go straciło sens.

Henrietta w zamyśleniu skinęła głową. Zastanawiała się, czy wypada zapytać, gdzie podziała się jego żona, lecz on widać odgadł jej myśli, bo po chwili dodał:

- Moja żona nie żyje.

- Och! Bardzo mi przykro.

- Mnie też - odrzekł, zwalniając przed domem i zarazem zadając sobie pytanie, po jakiego diabła pokazuje ledwo poznanej kobiecie, gdzie mieszka. - Mam nadzieję, że nie każesz się oprowadzać po posiadłości - dodał z ironią.

- Ależ skąd, nie chcę być wścibska.

- To tym lepiej. Zwłaszcza że sama mieszkasz w rezydencji. Wielu ludzi będzie ci zazdrościć.

- Niepotrzebnie - odparła, gdy Matthew znów

ruszył. - Dla mnie jest stanowczo za duża i zbyt elegancka. Nie czuję się w niej swobodnie. Wciąż mam uczucie, że zrobię coś nie tak. Moje dotychczasowe mieszkanie było małe i skromne, ale własne. Całe mogłoby się zmieścić w mojej obecnej sypialni.

- A co zrobiłaś ze swoim mieszkaniem?

- Wynajęłam. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby stało puste.

- To znaczy, że siostra nie pokrywa kosztów tego, że przewróciła ci życie do góry nogami?

- Nie, Pamela na pewno zaproponowałaby rekompensatę, gdybym jej na to pozwoliła. Ale ja niczego od niej nie oczekiwałam. W gruncie rzeczy zrobiła mi przysługę. Od dawna im zazdrościłam, że mieszkają w tak pięknym miejscu i dlatego między innymi poszłam jej na rękę.

- Zdaje się, że twojej siostrze bardzo się podoba, kiedy ludzie idą jej na rękę. Tyle że nie każdy lubi być manipulowany. Ja na pewno nie.

Henrietta nie była pewna, dlaczego to powiedział, i wołała w to nie wnikać. Matthew jest człowiekiem dotkniętym przez los i chyba jeszcze się nie otrząsnął po śmierci żony. To pewnie jeden z powodów, dlaczego zdecydował się pojechać do Pakistanu.

Mogłaby się bez trudu dowiedzieć, co się stało z jego żoną, zapytać Kate albo Pamelę podczas najbliższej rozmowy telefonicznej, postanowiła jednak poczekać, aż Matthew sam jej to wyjaśni z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Kiedy badałaś ostatniego pacjenta, przyszło wezwanie do pensjonatu Goyt Lodge - oznajmił Mat-

thew, wsiadając z Henriettą do samochodu. - Podobno jedna z lokatorek straciła pamięć. Wczoraj wieczorem zachowywała się zupełnie normalnie, ale kiedy dziś rano nie zeszła na śniadanie i żona właściciela poszła do niej, kobieta krążyła po pokoju, nie zdając sobie sprawy z tego, kim jest ani gdzie się znajduje.

- Ile ma lat?

- Sześćdziesiąt parę. Myślisz o alzheimerze?

- Nie, raczej o miniwylewie. Choroba Alzheimera nie przychodzi nagle, z dnia na dzień.

- Chyba tak. To tutaj - powiedział, zatrzymując samochód przed odsuniętym od ulicy murowanym budynkiem.

Wprowadzono ich do niewielkiego saloniku, w którym elegancko ubrana starsza pani piła herbatę w towarzystwie młodszej kobiety. Ta druga podniosła się na ich widok, natomiast starsza pani odstawiła gwałtownie filiżankę i niespokojnie zapytała:

- Lynda, co to za ludzie? Przyszli po mnie?

- Ależ nie - odparła kobieta nazwaną Lyndą. - To pan doktor. Wezwałam go, żeby cię zbadał.

- Ach tak, prawda. Nie wiem, kim jestem. To takie przerażające - przyznała starsza pani ze łzami w oczach.

- Może mi pani podać nazwisko swojej lokatorki?

- spytał Matthew, zwracając się do Lyndy.

- Joan Carradine. Pani Carradine często do nas przyjeżdża, zwykle na kilka dni. Ma chyba znajomych w okolicy, ale ani ja, ani mój mąż nie wiemy, kim oni są.

- Czy zauważyła pani u niej jakieś trudności z poruszaniem się?

- Nie, nic takiego nie zauważyłam.
- Matthew podszedł do pani Carradine.
- Czy mógłbym panią zbadać? Proszę się niczego nie obawiać - powiedział łagodnym tonem. - Chciałbym osłuchać panią i zmierzyć puls, i mam nadzieję, że wkrótce odkryjemy, dlaczego dziś rano zawiodła panią pamięć.
 - Proszę, ale to on, to jego wina. Uderzyłam się w głowę, bo mnie popchnął - oświadczyła pani Carradine.
 - Kto panią popchnął? - zapytał Matthew. Obmacawszy jej głowę, spojrzał znacząco na stojącą obok Henriettę. - Sama zobacz - dodał z poważną miną, robiąc jej miejsce. - Z boku głowy wyczuwam gąbczaste obrzmienie.
 - Myślisz, że to krwiak?
 - Na to wygląda.
 - To przez niego - podniesionym głosem powtórzyła Joan Carradine. - On mnie nie lubi. Popchnął mnie, a ja się pośliznęłam i uderzyłam głową o drzewo.
 - Została chyba napadnięta - zauważyła Henrietta, kiedy ona i Matthew odeszli na bok. - Ale przez kogo?
 - Tego nie wiemy i nie to jest w tej chwili najważniejsze - stwierdził Matthew. - Taki pokaźny krwiak może mieć poważniejsze konsekwencje niż częściowa utrata pamięci. Trzeba wezwać karetkę. Musi ją jak najszybciej zobaczyć neurolog. - Podchodząc do właścicielki pensjonatu, dodał: - Proszę zapakować osobiste rzeczy pani Carradine, a ja tymczasem zadzwonię do szpitala.

- Zaraz to zrobię - odparła Lynda. - To okropne. Nie przyszło mi do głowy, że padła ofiarą czyjejś napaści. Kto mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie zaczyna prosić o odzyskiwanie pamięci. Trzeba się dowiedzieć, z kim się widuje podczas pobytów w wiosce. Może jej znajomi będą wiedzieli, co się stało. Może ktoś ją widział. Tak czy inaczej trzeba dać znać na policję, ale w tej chwili należy przede wszystkim odesłać panią Carradine do szpitala.

- Ciekawe, dlaczego pani Carradine zatrzymuje się w pensjonacie, a nie u znajomych - zauważyła Henrietta, kiedy po odjeździe ambulansu wychodzili z pensjonatu. - Może nie jest u nich mile widziana. A może po prostu nie mają gościnnej sypialni.

- Sprawa wygląda tajemniczo - przyznał Matthew. - Nie wykluczam jednak, że będąc w stanie oszołomienia, uroiła sobie, że ktoś na nią napadł. Chociaż uraz głowy jest jak najbardziej realny.

- A ja myślałam, że brutalne napaści zdarzają się tylko w miastach - smętnie westchnęła Henrietta.

Matthew uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Niestety, u nas również dochodzi do przestępstw. Chociaż rzadziej niż w miastach. Dobrze by było, gdyby policja przeszukała rzeczy pani Carradine, a może ona sama coś więcej sobie przypomni. - To powiedziawszy, Matthew zerknął na Henriettę. - Przed chwilą porównałaś przestępczość w mieście i na wsi. A jak wygląda to porównanie, jeśli chodzi o służbę zdrowia?

- O, tutaj jest zupełnie inaczej - odparła bez

wahania. - Wszystko odbywa się o wiele wolniej i spokojniej. Nie wiem, może się mylę, ale mam wrażenie, że jeśli ma się mniej pacjentów i więcej czasu, można im zapewnić wyższy standard opieki medycznej. W Manchesterze musiałam znacznie ciężiej pracować, no i miewałam do czynienia z bardzo trudnymi pacjentami.

- Ja wymagam tylko dobrej pracy.

- To rozumiałe, i mogę obiecać, że dam z siebie wszystko. Niemniej wolałabym nieco więcej o tobie wiedzieć.

Matthew zwolnił, aby zaparkować na skraju dogi. Zdjąwszy ręce z kierownicy, popatrzył na nią z lekką kpina w oku.

- Czy nie za wiele ode mnie wymagasz? W końcu znamy się dopiero od wczoraj. Może nie jestem najweselszym kompanem, ale właśnie wróciłem z piekła i trudno mi wymazać z pamięci okropności, na jakie się tam napatrzyłem.

Ma rację, pomyślała ze wstydem. Czego ja od niego chce? To nie jego wina, że nasze pierwsze spotkanie było nieudane. Poza tym trudno mu cokolwiek zarzucić, no chyba tylko to, że jego włosy domagają się pilnej interwencji fryzjera.

W dodatku stracił niedawno ukochaną żonę. Kiedy wcześniej pokazywał swój dom, Henrietta wyczuła, że wciąż nosi w sercu ranę. Może to niedobrze, może powinien pogodzić się z tym, co nieodwracalne, lecz kto dał jej prawo pouczać człowieka, którego ledwo poznała?

- Przepraszam, to było niemądre z mojej strony
- powiedziała. - Ale widzisz, długo pracowałam

w anonimowej atmosferze dużego miasta i chyba przesadnie liczyłam na to, że w wiejskiej służbie zdrowia będzie zupełnie inaczej.

- Gdybyś zastała inną sytuację, to znaczy gdybyś w przychodni została z Johnem, a nie ze mną, pewnie spełniłyby się twoje oczekiwania. Ale jest jak jest i nic na to nie poradzę. Musisz mnie znieść albo poszukać szczęścia gdzie indziej.

- Nigdzie nie wyjeżdżam, nawet gdybyś wyrzucił mnie z pracy. Cokolwiek się stanie, muszę zostać z dziećmi.

Rzadki u Matthew uśmiech rozjaśnił jego twarz, a Henrietta pomyślała, że niezależnie od tego, jak długi okaże się jej pobyt w przychodni, nigdy tego uśmiechu nie zapomni.

- No to jesteś na mnie skazana - odparł. - Ale może kiedyś dojdiesz do wniosku, że było warto, choćby dlatego że mogłaś uciec od atmosfery wielkich bloków. Więc jesteście partnerami?

Przyjęła jego słowa z uśmiechem. Zauważył, że kiedy się uśmiecha, na jej policzkach tworzą się dwa dołeczki.

- Chyba tak.

- Tylko chyba? Robisz wrażenie kobiety, która wie, czego chce.

- Niestety nie zawsze - mruknęła smętnie.

Teraz on z kolei miał ochotę wyciągnąć ją na zwierzenia, poznać bliżej tę ciemnowłosą kobietę o przykuwających wzrok piwnych oczach i ujmującym uśmiechu. Zamiast tego, zmienił temat.

- Pomijając poranne kłopoty z pracą domową, jak ci się układa z dziećmi? - zapytał.

- Świetnie. Uwielbiam dzieci. Chciałabym mieć kiedyś dom pełen własnych. Ale na razie cieszę się Mollie i Keiranem - odparła.

- Naprawdę chciałybyś mieć mnóstwo dzieci?

- Trochę przesadziłam. Wystarczy mi dwoje albo troje. A właśnie, skoro już mowa o dzieciach, to teraz jedziemy chyba do chorego dziecka.

- Tak, do ośmioletniej córki miejscowego weterynarza Rogera Martina, która zaczęła w nocy gorączkować. W dodatku żona Rogera akurat wyjechała i został sam z Amy - wyjaśnił Matthew. - To tu - dodał, zatrzymując się przed ładnym domem z kamienia otoczonym wypiełgnowanymi klombami kwiatów. - Miejmy nadzieję, że to nic poważnego.

scandal.com

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy weszli do domu, Henrietta od pierwszej chwili wyczuła napięcie między swoim towarzyszem a weterynarzem. Pierwszy zachowywał się dziwnie chłodno, drugi zaś był wyraźnie skrępowany.

- Cześć, Matthew, dziękuję, że przyjechałeś - powiedział Roger, prowadząc ich w głąb mieszkania.
- Amy leży w łóżku, jest bardzo rozpalona. Bez przerwy woła mamę.

- Wcale jej się nie dziwię - chłodnym tonem zauważył Matthew. - Ale najpierw muszę ci przedstawić doktor Mason, która od wczoraj zastępuje Johna.

- O? - zdziwił się Roger. - A co się z nim stało?

- Ma kłopoty rodzinne i musiał wyjechać na pewien czas. No, chodźmy do Amy.

Matthew zachowywał się uprzejmie, lecz z dystansem. Jego nastawienie zmieniło się dopiero, gdy siadł przy łóżku Amy, która leżała nieruchomo, z buzią odwróconą do ściany.

- To zaczęło się w nocy. Dostała gorączki i była bardzo niespokojna - wyjaśnił ojciec.

- Powiedz, Amy, czy coś cię boli - zapytał łagodnie Matthew. Dziewczynka powoli odwróciła ku niemu twarz i bez słowa wskazała palcem gardło. - Boli, kiedy przełykasz? - pytał dalej Matthew, a kiedy Amy skinęła głową, poprosił: - Otwórz szeroko buzię

i powiedz „aaa”. - Po obejrzeniu gardła i osłuchaniu płuc oświadczył: - To zapalenie migdałków. Czy już się jej to zdarzało?

- Nie, nigdy - odparł Roger.

Kiedy Matthew wypisywał recepty, Roger odciągnął Henriette na bok.

- Nie wiedziałem o wyjeździe doktora Lomasa. Mam nadzieję, że spodoba się pani u nas. - Zawahał się, ale gdy zobaczył, że Matthew odbiera telefon komórkowy, szybko dodał: - Nie spodziewałem się wizyty Matthew. Czuję się niezręcznie, bo nie jest z nami w najlepszych stosunkach. Następnym razem poproszę o panią.

Henrietta milczała. Nie chciała się mieszać w nie swoje sprawy. Matthew mógłby pomyśleć, że knuje za jego plecami.

- Podawaj Amy dużo płynów i trzymaj ją w łóżku, dopóki nie minie gorączka. Nie zapisuję jej na razie antybiotyków, tylko lekki środek przeciwbólowy. Gdyby jednak nie było poprawy, zastanowimy się, co robić dalej.

Po powrocie do samochodu Matthew rzekł:

- Dzwonił mąż Lyndy z pensjonatu Goyt Lodge.

- Nowe wiadomości o stanie pani Carradine?

- Nie, jest już w szpitalu, ale lekarz jeszcze jej nie zbadał. Natomiast wyjaśniła się tajemnica jej wizyt w wiosce. Otóż przyjeżdża do swojej córki. Spotykały się codziennie rano w jakimś ustronnym miejscu, ale dziś matka nie zjawiła się na spotkaniu i zaniepokojona córka przyszła do pensjonatu. A ponieważ, jak się okazało, jej matka ma z zięciem na pieńku,

policja zaczęła podejrzewać, iż to on napadł na nią podczas wieczornego spaceru.

- Czy już z nim rozmawiali? - zaciekała się Henrietta.

- Owszem, ale zięć twierdzi, że od popołudnia nie ruszał się z domu, a żona w pełni to potwierdza, mimo że ofiarą napadu padła jej matka. Może coś się wyjaśni, kiedy pani Carradine odzyska pamięć.

- A ja myślałam, że wiejskie życie jest sielskie i spokojne - ponownie westchnęła Henrietta. - Dokąd teraz jedziemy?

- Do wspaniałego młodego człowieka, który nazywa się Daniel Robertson. Chłopak parę miesięcy temu spadł na budowie z rusztowania i uszkodził sobie kręgosłup. Najprawdopodobniej nigdy już nie będzie chodził. Jedyne, co mogę dla niego zrobić, to regularnie go badać i w razie potrzeby zapisywać środki przeciwbólowe. Ale Daniel jest niesłychanie dzielny. Nigdy nie słyszałem, żeby skarżył się na swój los, chociaż na pewno nie jest mu lekko. W Pakistanie wiele o nim myślałem. Może mi nie uwierzysz, ale wizyty u Daniela uczą mnie pokory.

Obserwując rozmowę Matthew z dziewiętnastoletnim kaleką, Henrietta odniosła wrażenie, że tych dwóch łączy jakaś specjalna więź, a gdy po jakimś czasie matka Daniela i Matthew wyszli do kuchni, Daniel powiedział:

- Wiele mu zawdzięczam, zwłaszcza odkąd wyszedłem ze szpitala. Doktor Cazalet pomaga mi na każdym kroku. Bardzo mi go brakowało.

- Mogę sobie wyobrazić - odparła z przekonaniem. - Znam go zaledwie od dwóch dni i już widzę,

jak bardzo się różni od wszystkich znanych mi lekarzy.

- Za dwa tygodnie mam wrócić do szpitala. Będą próbowali uruchomić mi nogi, ale nie wiązę z tym wielkich nadziei. Od wypadku jestem sparaliżowany od pasa w dół.

- To smutne - rzekła ze współczuciem.

- I tak dobrze, że przeżyłem - odparł.

- To prawda.

Idąc po wyjściu od Daniela do samochodu, zastanawiała się nad tym, jak wiele zależy od stosunku pacjenta do tragicznych skutków tak poważnego wypadku. A gdy usadowiła się na siedzeniu i zapięła pas, Matthew zapytał:

- O czym myślisz?

- Jesteś człowiekiem o wielu twarzach.

Matthew zaśmiał się serdecznie.

- Nie wiesz, co o mnie myśleć? Poczekaj, to jeszcze nie wszystko.

- Nie strasz mnie - rzuciła, śmiejąc się za jego przykładem.

- Strach cię obleciał?

- No pewnie.

- Wiesz, to dziwne, ale od dawna nikt mnie tak nie rozbawił. Dobrze będzie mieć cię pod ręką - uważały wesoło.

- Masz to jak w banku, bo nie zamierzam wylądować na zasiłku dla bezrobotnych.

- Tylko dlatego?

- Głównie, ale także z ciekawości. Powiedziałeś przecież, że czeka mnie jeszcze niejedna niespodzianka.

Dojechali tymczasem do przychodni. Matthew zaparkował.

- Muszę ci coś powiedzieć a propos wizyty u Amy Martin - rzekł, poważniejąc. - Nie było mi łatwo rozmawiać z Rogerem, choć ze względu na dziecko starałem się tego nie okazywać. Otóż nie potrafię zapomnieć, że syn Rogera, starszy brat Amy, przyczynił się pośrednio do śmierci mojej żony.

- Och, rozumiem.

- Chyba nie do końca, ale powinnaś o tym wiedzieć.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, dzieci były już nakarmione. Jeszcze wczoraj uzgodniła z Kate, że będzie im podawać kolację o piątej, nie czekając na powrót Henrietty. Posiłek dla Henrietty był przygotowany, wystarczyło tylko wstawić potrawę do piekarnika.

- Ale czy ty coś jadłaś, Kate?

- O mnie się nie martw - odparła gospodyni. - Wpadnę teraz do Matthew i przygotuję jedzenie dla nas obojga. Kolację jemy zwykle we dwoje.

- Ach, to dobrze. Czy nie miałaś kłopotów z dziećmi?

- Żadnych. Są bardzo grzeczne. Wczesnym popołudniem dzwoniła pani Pamela i z obojgiem rozmawiała. Powiedziała, że zadzwoni jeszcze wieczorem.

- Dobranoc, Kate, dziękuję za wszystko.

Starsza kobieta zatrzymała się w drzwiach.

- A jak ci się układa z moim siostrzeńcem?

- Sama nie wiem - stwierdziła Henrietta. - Nie przypomina mężczyzn, których znałam do tej pory.

Mam wrażenie, że nie może się pogodzić z nieszczęściem, jakie go spotkało.

- To prawda - westchnęła Kate. - Joanna była czarującą kobietą. To okropne, że umarła tak młodo. Nadal by żyła, gdyby nie głupie wybryki młodego Martina. Ale to są prywatne sprawy mojego siostrzeńca, o których nie powinnam opowiadać za jego plecami.

Dalszą rozmowę przerwało wtargnięcie dzieci do przedpokoju. Kate odjechała, jeszcze bardziej zaostrzywszy ciekawość Henrietty.

- Cześć, Henny! - zawołała Mollie, obejmując ukochaną ciotkę. - Zgadnij, co było dzisiaj w szkole!

- Nie wiem, sama mi powiedz.

- Mollie zmoczyła spodnie - zakpił z siostry Keiran.

- To nieprawda! - zaprotestowała dziewczynka, czerwieniąc się jak burak. - Wpadłam tylko na boisku w kałużę. Ale pani wychowawczyni znalazła mi suche spodnie i się przebrałam.

- No to w porządku - uspokoiła ją Henrietta, uśmiechając się w duchu na myśl, jak by na tę historię zareagowała Pamela. Przypomniała sobie przy okazji, jakim tonem mówi o niej Matthew i uznała, że siostra musiała mu się czymś narazić.

Kiedy nieco później układała rodzeństwo do snu, Keiran niespodziewanie oświadczył:

- Mama mówi, że najwyższy czas, żebyś wyszła za mąż i miała własne dzieci.

- Naprawdę? No skoro tak, to muszę o tym pomyśleć.

- A masz chłopaka? - zaciekawiła się Mollie.

- No nie - przyznała. - Na razie nie. Ale musicie już spać - dodała, kładąc kres dalszym dociekaniom.

Tego wieczoru wspaniałość eleganckiej sypialni mniej jej doskwierała niż pierwszej nocy. Była zbyt zmęczona i zbyt zajęta wydarzeniami minionego dnia. Wkrótce też zapadła w sen, z którego wyrwały ją nagle dziwne odgłosy dochodzące z ogrodu. Odrzuciwszy kołdrę, podeszła do okna i omal nie krzyknęła.

Na wypielegnowanym trawniku pasło się stado krów.

Krótką chwilę później do Henrietty przyłączyły się dzieci.

- Gzy w sąsiedztwie jest jakaś farma? - zapytała.

- Nie w bezpośrednim sąsiedztwie, ale dalej, na wzgórzu - odparł Keiran.

- Wiecie, do kogo należy? - Dzieci pokręciły głowami. - Pokażcie mi, gdzie rodzice trzymają książkę telefoniczną.

Znała w wiosce tylko dwie osoby, do których mogła się zwrócić o pomoc. Nie chcąc zawracać głowy poczciwej Kate, musiała rada nierada zadzwonić do Matthew.

Kiedy w środku nocy odezwał się telefon, Matthew z głębokim westchnieniem popatrzył na zegarek. Było dobrze po północy. Co za diabeł? - pomyślał ze złością. Zgodnie z niedawno zawartą umową nocne wezwania miała obsługiwać lokalna spółdzielnia lekarska.

- Przepraszam, ale musisz mi pomóc - usłyszał w telefonie głos Henrietty. - Poza tobą nie mam do kogo się zwrócić. Mamy poważny kłopot. Czy mógłbyś przyjechać do Białego Domu?

- Co się stało? - zapytał, wciągając w pośpiechu ubranie. - Czy chodzi o dzieci?

- Nie, o krowy. Wyobraź sobie, że do ogrodu wtargnęło stado krów.

- Krowy w ogrodzie? - zawołał, parszkając śmiechem. - Skąd się tam wzięły?

- A skąd ja mam wiedzieć? Trzeba je jak najszybciej przepędzić, a ja nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- No dobrze, zaraz przyjadę - odparł pojednawczo.

W przeciwieństwie do swej ciotki, dzieci uznały inwazję krów za świetną zabawę. Biegały od okna do okna, komentując postępy w dewastacji trawnika matki.

Natomiast Henrietta uspokoiła się dopiero po przyjeździe Matthew. Jej nowy pryncypał w ciągu może dwudziestu minut wygonił zwierzęta z ogrodu, po czym zadzwonił do właściciela farmy na wzgórzu, żeby przyjechał zabrać swoje krowy.

- Na farmie Gorse Hill źle się ostatnio dzieje - oznajmił po odłożeniu słuchawki. - Żona właściciela, Billa Bradleya, zginęła rok temu w wypadku samochodowym, on sam musiał pójść do szpitala na wszczepienie protezy stawu biodrowego i na gospodarstwie został tylko jego dwudziestoletni syn. Pojadę potem do niego, żeby zobaczyć, jak sobie radzi.

- Skąd wiedziałeś, że to jego krowy? - zdziwiła się Henrietta, przytulając do siebie przejęte nocną przygodą dzieci.

- Przecież znam to stado - odparł, przypatrując się tęsknym wzrokiem odzianej tylko w nocną koszulę i jedwabny szlafrok nowej pani doktor, obejmującej ramionami dwójkę siostrzeńców.

Szybko odwrócił oczy. Gdyby Joanna żyła, mieliby teraz dzieci, których głosy wypełniałaby jego tak dzisiaj smutny dom. Musiał się zdobyć na duży wysiłek, aby nie pokazać, co przeżywa. Pomógł mu w tym warkot nadjeżdżającego land-rovera.

Młody Paul Bradley jęknął na widok zniszczonego trawnika.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Mam tyle roboty, że nie wiem, w co najpierw włożyć ręce. Musiałem nie zamknąć zagrody dla krów.

- Pojadę z tobą i pomogę zapędzić je do zagrody - oświadczył Matthew.

- Nie wiem, jak panu dziękować, doktorze.

- A o trawnik się nie martw. Zawołam ogrodnika i wszystko będzie dobrze - dodała Henrietta.

- Jesteście oboje nadzwyczajni - odparł wzruszony Paul, a zwracając się do dzieci, dodał: - Poproście mamę, żeby przywiozła was na farmę. Pokażę wam zwierzęta i zrobię jajecznicę ze świeżych jaj.

Henrietta uznała, że jest za późno na to, by wdawać się w wyjaśnianie jej sytuacji rodzinnej, więc tylko podziękowała Paulowi z uśmiechem.

- Nie zapomnij zamknąć drzwi na klucz - upomniał ją na pożegnanie Matthew. - A wy, dzieciaki, wracajcie do łóżek, bo spóźnicie się rano do szkoły.

Jednakże podniecone rodzeństwo zasnęło dopiero wtedy, gdy zgodziła się przyjąć je na noc do swego szerokiego łóża.

Sama natomiast ani rusz nie mogła zasnąć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, z jaką bezwzględnością wyciągnęła Matthew z łóżka w środku nocy, nie

przepraszając nawet za kłopot ani nie pytając, czy może to dla niej zrobić. Zarazem jednak rozśmieszyła ją po fakcie własna bezradność. Jej, która świetnie sobie radziła z miejskimi pijakami i narkomanami, zabrakło odwagi, aby przegonić stado poczciwych krów!

Rano, o dziwo, nikt w domu nie zasnął. Dzieci zdażyły śpiewająco na autobus, a Henrietta punktualnie zjawiła się w przychodni. Natomiast po Matthew nie było ani śladu. Zadzwoił, gdy miała prosić pierwszego pacjenta do gabinetu.

- Trochę się spóźnię - powiedział. - Właśnie wróciłem z farmy, muszę się umyć i przebrać. Pomagałem Paulowi w porannym dojeniu, bo biedny chłopak kompletnie nie daje sobie rady.

- W ogóle nie spałeś?

- No nie, ale to nic.

- Przepraszam, że wywlokłam cię z łóżka.

- Nic nie szkodzi. Gdyby nie ty, nie wiedziałbym, że chłopak potrzebuje pomocy. A jak dzieci?

- Jakoś w końcu zasnęły, ale dopiero, kiedy pozwoliłam im spać w swoim łóżku.

- Dobre i to. A swoją drogą dobrze, że twojej siostry nie było w domu - odparł Matthew ze śmiechem.

- Oj tak. Dzwoniłam już do ogrodnika, żeby spróbował przywrócić trawnik do stanu doskonałości, a dzieciom przykazałam, żeby, kiedy mama zadzwoni, nie wspominały o tym, co się stało, bo tylko by się zdenerwowała.

- A co myślisz o zaproszeniu na farmę?

- Dzieci od rana mówiły tylko o tym, więc sprawa jest przesądzona.

Matthew zjawił się pół godziny później i od razu zjrzał do jej gabinetu.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że miałem wieczorem telefon od właściciela pensjonatu. Pani Carradine zaczęła odzyskiwać pamięć i potwierdziła niewinność zięcia. Okazuje się, że chodziła wieczorami na długie spacerunki w kierunku dawnej dozorcówki, której właściciele trzymają dwa groźne mastify. No i właśnie jeden z tych psów rzucił się na nią z takim impetem, że uderzyła tyłem głowy o drzewo. Nie ma jednak tego złego, co by nie wyszło na dobre, bo zięć pani Carradine odwiedził ją w szpitalu i przynajmniej zaczęli z sobą rozmawiać.

- Bardzo mnie pocieszyłeś, bo już myślałam, że w okolicy krąży tajemniczy bandyta. A tymczasem okazuje się, że sprawcami szkód są głównie zwierzęta, psy albo krowy.

- Jeśli chcesz, zawiozę cię z dziećmi na farmę Paula - zaproponował Matthew. - Do powrotu Billa ze szpitala będę mu pomagał w udoju, więc da się łatwo połączyć przyjemne z pożytecznym.

Idąc do gabinetu, Matthew zadał sobie pytanie, czy nie wchodzi z Henriettą w zbyt bliską komitywę. Nie był pewien, czy dobrze robi. Przywykł już do samotnego życia, które było może trochę smutne, ale przynajmniej chroniło przed zawodami.

Drugą pacjentką Matthew w tym dniu była Joan, matka sparaliżowanego Daniela Robertsona. Od wy-

padku syna kobieta funkcjonowała dzięki środkom antydepresyjnym i choć tego nie okazywała, Matthew wiedział, jak bardzo rozpacza z powodu nieszczęścia syna.

Jej lekkomyślny mąż Mike był wprawdzie dobrym i kochającym ojcem, ale wolał wierzyć, że Daniel wkrótce odzyska władzę w nogach. Matthew nieraz sobie myślał, że na dobrą sprawę sam poszkodowany jest w ich domu jedyną racjonalnie myślącą osobą.

- Witaj, Joan, jak się miewasz? - zapytał.
- Bez zmian. Przyszłam cię prosić o receptę.
- Lekarstwo poprawia ci samopoczucie?
- Trochę tak. W każdym razie łagodzi rozpacz -

przyznała smutno.

- Daniel byłby zmartwiony, gdyby wiedział, co się z tobą dzieje - łagodnie upomniał ją Matthew.

- Jest nadzwyczajnym chłopcem, z którego każdy z nas mógłby brać przykład. Powiedział mi wczoraj, że chce się włączyć w działalność sportową niepełnosprawnych. Moim zdaniem to wspaniały pomysł.

- Ale od tego nie zaczniesz chodzić.

- Nie, Joan, nie możesz myśleć w ten sposób. Życie nie zawsze spełnia nasze marzenia, więc trzeba się cieszyć tym, co mamy - powiedział Matthew, głaszcząc ją delikatnie po ręce. - Gdybym miał syna, życzyłbym sobie, żeby był równie dzielny i rozumny jak Daniel. Wracaj do domu i ciesz się tym, że masz syna. Przecież mógł zginąć, a jednak żyje.

Joan spróbowała się uśmiechnąć.

- Wiem. Dziękuję, że zawsze jesteś gotów mnie wysłuchać.

- Od tego jestem - odparł.

Pani Robertson wyszła, lecz słowa: „Gdybym miał syna” nadal brzmiały mu w uszach. Gdyby ten głupi syn Martina nie błaznował wtedy na krawędzi urwiska, on też miałby dzisiaj własnego syna albo córkę. Niestety, okrutny los odebrał mu Joannę, a wraz z nią całą radość życia. Jedyne, co mu pozostało, to troska o zdrowie i samopoczucie pacjentów.

- Wiem od dzieci o nocnej inwazji krów - usłyszała Henrietta od Kate, powróciwszy wieczorem do domu. - Łaska boska, że Pamela tego nie widziała, bo dostałaby hysterii. Słyszałam, że wezwałaś Matthew na pomoc.

- No właśnie, wpadłam w panikę, nie miałam pojęcia, co robić. Matthew zachował się nadzwyczajnie, ale miałam potem okropne wyrzuty sumienia, zwłaszcza kiedy się dowiedziałam, że resztę nocy spędził na farmie,

- Nie martw się, gdyby miał do ciebie pretensje, już byś o tym wiedziała. Mój siostrzeniec lubi walić prawdę w oczy. Czasami sobie myślę, że mógłby być mniej surowy dla siebie i innych.

To tak jak ja, przemknęło Henriecie przez głowę. Co prawda ostatniej nocy Matthew zachował się wobec niej nienagannie. Szkoda, że nie chce zapomnieć o przeszłości i stworzyć sobie nowego życia. Mógłby przecież ożenić się powtórnie.

Jej życie również ograniczało się do troski o pacjentów i opieki nad siostrzeńcami, lecz w jej przypadku zdecydowały o tym zewnętrzne okoliczności, a nie własny wybór.

Kiedy późnym wieczorem w Białym Domu za-

dzwonił telefon i Henrietta usłyszała głos Matthew, zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Rozmawiałem przed chwilą z mężem Jackie Marsland - oznajmił. - Jackie nie straciła wprawdzie dziecka, ale do końca ciąży musi bardzo uważać i unikać wszelkich wysiłków, a już na pewno nie może pomagać mężowi w restauracji. Na szczęście rodzina przyjdzie mu z pomocą, więc jakoś sobie poradzą. Przepraszam, że zakłócam ci wieczorny odpoczynek, ale pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, jak się miewa pierwsza pacjentka, której złożyłaś domową wizytę.

- I bardzo ci za to dziękuję. Zastanawiałam się, co się z nią dzieje.' Nadal boję się, czy nie dojdzie do poronienia, ale obym się myliła.

- Ja też mam poważne obawy, lecz skoro szpitalny lekarz robi nadzieję, to nie martwmy się na zapas. A jak twoje dzieci? Poszły już spać?

- O tak.

- A co ty robisz?

- Przyzwyczajam się.

- Do czego?

- Do wiejskiego życia, do obecności krów, w ogóle do wszystkiego. I powiem ci, że z każdym dniem jestem ze swojej decyzji coraz bardziej zadowolona.

Nie dodała tylko, iż elementem w istotny sposób umilającym nowe środowisko jest obecność w nim kogoś takiego jak on.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Paul Bradley prosił, żebym ci przypomniiał, że jesteście zaproszeni na farmę - powiedział Matthew jakiś tydzień po nocnej przygodzie z krowami.

- Więc mówił to na serio? - spytała Henrietta.

- Jak najbardziej. Ja też na serio obiecywałem, że was tam zawiozę. Co byś powiedziała na sobotnie popołudnie, zanim będę musiał wziąć udział w wieczornym dojeniu krów?

- Na pewno masz ochotę? - zapytała na wszelki wypadek, wyczuwając w jego głosie jakby ton wahania.

Nie odpowiedział od razu. Szczerze mówiąc, wcale nie był tego pewien. Z jednej strony uśmiechało mu się towarzystwo pani doktor i jej dwojga podopiecznych, z drugiej jednak czuł lęk, ponieważ w ich obecności po raz pierwszy od śmierci Joanny zaczynał się angażować. Budziły się w nim dawno zapomniane uczucia, co w zasadzie byłoby nawet miłe, gdyby nie świadomość, że po powrocie Pameli Henrietta opuści wioskę. Uroki wiejskiego życia też z czasem zbledną.

Nie mógł jednak wyjawić swoich obaw, gdyż uznałaby, że zbyt wiele sobie wyobraża.

- Oczywiście, że mam - powiedział.

- To przeze mnie spędzasz tyle czasu na farmie. Czuję się winna.

- Niepotrzebnie - odparł z uśmiechem. - Dzięki tobie wiem, że Paul ma kłopoty i mogłem mu pomóc.

- Nie rozumiem, dlaczego na czas nieobecności ojca nie wynajęli kogoś do pracy - zauważyła.

- Z prostej przyczyny: nie mogą sobie na to pozwolić. Większość farmerów z trudem wiąże koniec z końcem. A do tego Paul i jego ojciec muszą z braku gospodyni żywić się potrawami na wynos, co znacznie podnosi koszty utrzymania. - Zamilkł na chwilę.

- Więc umawiamy się, że przyjadę po was w sobotę, powiedzmy o czwartej?

- Zgoda, w sobotę o czwartej.

Przychodnia była w soboty otwarta do południa, a dyżury obsługiwał na zmianę jeden z lekarzy. W tym tygodniu przyszła kolej na Matthew.

- Jeśli chcesz, wezmę twój jutrzejszy dyżur - zaproponowała Henrietta. - Będziesz miał trochę czasu przed popołudniowym wyjazdem na farmę.

- A co zrobisz z dziećmi?

- Na te dwie godziny mogę je zabrać do przychodni. Nie będą przeszkadzać.

- Mam lepszy pomysł. Przywieź je do mnie. Jestem ci coś winien za zastąpienie mnie na dyżurze, a dzieci pomogą mi w oczyszczaniu zarośniętego ogrodu.

- Będą uszczęśliwione - ucieszyła się Henrietta.

Znowu zanadto się angażujesz, upomniał się Matthew. A wszystko przez to, że tak dobrze pamiętał, jak wyglądała tamtej nocy, kiedy stała naprzeciw niego w jedwabnym szlafroku, mając po bokach dwoje

tulących się do niej dzieci. A także przez zapach owych drogich perfum, z powodu których tak nieprzyjemnie się wobec niej zachował.

Kiedy po sobotnim dyżurze Henrietta przyjechała do Matthew po Mollie i Keirana, wszyscy troje siedzieli na werandzie, popijając chłodzące napoje. Matthew zaproponował, by się do nich przyłączyła.

- Dziękuję, zwłaszcza za opiekę nad dziećmi, ale to ja w ramach rewanżu zapraszam cię na lunch.

- Nie dziękuj, przecież wzięłaś za mnie dyżur. Było dużo pacjentów?

- Nie, tylko dwie osoby, które nie chciały czekać do poniedziałku.

- Pamiętasz kto?

- Czy coś ci mówi nazwisko Craig Carter?

- Oczywiście - odparł. - Carter prowadzi salon fryzjerski dla pań na drugim końcu wioski. Co mu się stało?

- Spuchły mu dłonie. Wygląda na reakcję alergiczną. Zapewne na nowy płyn do trwałej. Twierdzi, że pracuje w gumowych rękawiczkach, ale pewnie czasami o nich zapomina. Przepisałam mu środek antyhistaminowy, niemniej przez kilka dni nie będzie mógł pracować.

- I kto jeszcze?

- Matka z małym dzieckiem, które dostało wysypki na pupie od bardzo dziś rzadko używanych bawełnianych pieluch. Kiedy mi powiedziała, w jakim proszku je pierze, wszystko stało się jasne. Kazałam jej używać do prania płatków mydlanych i przepisałam odpowiednią maść. Aptekę zamyka

się o pierwszej, więc ona i pan Carter zdużą wykupić lekarstwa - stwierdziła na zakończenie swojej relacji. I dodała: - No to jak, dasz się zaprosić na lunch?

Po kilku godzinach spędzonych z dziećmi w ogrodzie Matthew był rozpozgodzony i zrelaksowany. Te-go chyba najbardziej mu potrzeba, pomyślała Henrietta. Nie powinien w wolnym czasie w samotności rozpamiętywać nieszczęścia, jakie go spotkało. Jeśli Kate nie przesadziła w pochwałach na temat jego żony, zmarła na pewno by nie chciała, by Matthew stał się odludkiem.

- Z największą chęcią - odparł.
- O pierwszej?
- Znakomicie.

Dzieci też były uradowane.

Po powrocie do domu Henrietta oświadczyła siostrzeńcom:

- Najpierw pójdzicie do łazienki, porządnie umyć ręce, a potem nakryjecie stół na werandzie. Wybierzcie ładny obrus, talerze, sztućce i szklanki. Ja tymczasem idę się przebrać, a potem zobaczymy, co mamy w lodówce.

Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zapraszając go na lunch. Może byłoby rozsądniej utrzymywać dystans. No ale stało się, a poza tym uważała, że jest mu coś winna.

Matthew zjawił się parę minut przed pierwszą. Kiedy otworzyła drzwi ubrana w dżinsy i koszulkę, obrzucił ją takim spojrzeniem, które sprawiło, że lekko się zaczerwieniła.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś siostrą Pameli. Jesteście tak różne - zauważył. - Dobrze, że dzieci mają taką ciotkę jak ty.

- Wiesz, co mi powiedziały parę dni temu, kiedy mówiłam im dobranoc? - zapytała szybko, nie wiedząc, jak zareagować na jego oświadczenie.

- Co?

- Że najwyższy czas, żebym miała własne dzieci.

- I co im odpowiedziałaś?

- Byłam w kropce, więc odparłam, że się zastanowię. Wtedy zapytały, czy mam chłopaka, a kiedy powiedziałam, że nie, chciały wiedzieć, jak sobie wyobrażam swojego przyszłego męża, na co oznajmiłam, że muszą spać i uciekłam.

Henrietta mówiła to wesołym tonem, ale Matthew nawet się nie uśmiechnął, więc pomyślała, iż mógł jej słowa potraktować jako rodzaj propozycji.

- Samotne życie ma wiele zalet - rzekł tylko, po czym zmienił temat. - Wymyśl coś, żeby dzieci nie zwracały się do mnie za każdym razem per „panie doktorze”.

- Mają ci mówić po imieniu?

- Czemu nie? Mnie to nie przeszkadza.

Podczas lunchu Henrietta była wdzięczna dzieciom, które ochoczo podtrzymywały rozmowę, ponieważ nadal było jej nieswojo po własnej paplaninie na temat zainteresowania siostrzeńców jej prywatnym życiem. Lepiej by się pewnie poczuła, gdyby potrafiła zgadnąć, jak odmiennym torem biegną myśli Matthew. Bowiem ten mówił sobie w duchu, iż jego nowa współpracownica niedługo pozostanie osobą samotną. W ostatnich dniach jego uwadze nie

usząy skierowane na nią spojrzenia paru miejscowych podrywaczy.

Dlaczego John musiał na swoje miejsce wybrać właśnie ją? Gdyby nie to, on, Matthew nie używałby teraz bardzo skądinąd miłych dzieci jako pretekstu, by się zbliżyć do Henrietty, i nie myślałby o niej od rana do wieczora.

Życie, jakie wiódł po śmierci Joanny, było może monotonne, ale za to bezpieczne. Nie zagrażała mu bolesna utrata. O nikogo nie musiał się martwić, oczywiście z wyjątkiem kochanej Kate.

Po lunchu zaczął się żegnać, ale dzieci nie chciały go puścić.

- Dajcie spokój, przecież wrócę po was za dwie godziny - obiecał, a zwracając się do Henrietty, dodał: - Dzięki za miłe zaproszenie. Po tym lunchu mój dom wyda mi się smutny i zaniedbany. Kto wie, czy nie zacznę myśleć na serio o remoncie.

- Wybieraj jasne wesołe kolory, takie jak kremowy, blado złoty albo miodowy.

- Zapamiętam - odparł bez przekonania. - Może, jeśli się zdecyduję, zaproszę cię w charakterze projektantki wnętrza.

- Z miłą chęcią - oznajmiła z uśmiechem. - Do twojego domu należałoby wprowadzić trochę jasnych, świetlistych barw.

Matthew nie podjął tego tematu, natomiast w drodze na farmę uświadomił sobie, iż Henrietta, sama o tym nie wiedząc, wniosła już do jego życia nowe światło, a także coś więcej, choć nie był pewien, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy też niepokoić.

Matthew z uśmiechem na twarzy obserwował dzieci, które przypatrywały się z zachwytem różowym prosiaczkom i piszczały na widok biegnących w ich kierunku ciekawskich gęsi.

- Jak to możliwe, że mieszkając na wsi, nigdy nie były na farmie? - spytał zdziwiony.

- Och, na pewno kiedyś by do tego doszło - stwierdziła. - Słyszałam, jak Charles mówił, że jeździ na jedną z okolicznych ferm po świeże jajka. Może kupował je właśnie tutaj.

Bill Bradley wrócił już do domu, lecz nie był jeszcze w stanie podjąć pracy. Niemniej sama obecność ojca wyraźnie poprawiła Paulowi samopoczucie, w każdym razie wydawał się mniej przytłoczony odpowiedzialnością za gospodarstwo.

- Cieszę się, że już nie jesteś sam - powiedział Matthew do Paula. - Pokaż dzieciom resztę zwierząt, a ja pójdę pogadać z twoim tatą.

- Doktor Cazalet to prawdziwy cudotwórca - rzekł Paul po jego odejściu. - Gdyby nie on, pewnie bym tutaj zwariował. Wyobraź sobie, że nie tylko pomagał mi doić krowy, ale dwa dni temu upiekł mi ciasto, a na powrót ojca ugotował pyszny gulasz, wcale nie gorszy od tego, jaki robiła moja mama.

- Chętnie w to wierzę.

Matthew był człowiekiem o wielu zaskakujących cechach charakteru, na dodatek obdarzonym wieloma niespodziewanymi talentami. Kate zapewne nie codziennie gotowała mu kolację, a on nie wyglądał na kogoś, kto lubi się głodzić. Szkoda tylko, że mając tak liczne umiejętności, nie potrafił sobie na nowo urządzić życia.

Po pewnym czasie Matthew wyszedł z domu i przyłączył się do Henrietty.

- Przepisałem Billowi środki przeciwbólowe. Te, które dostał w szpitalu, wystarczą tylko na kilka najbliższych dni - powiedział. - Nadal będę tu przyjeżdżał pomagać przy dojeniu, więc będę go miał na oku. - Rozejrzał się. - A gdzie dzieci?

- Poszły z Paulem do stodoły odnowić znajomość z krowami.

- No jasne - rzekł z uśmiechem. - Jak już się nimi nacieszą, odwozę was do domu, a potem wrócę na dojenie.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Dlaczego pytasz?

- Poświęciłeś innym prawie cały dzień.

- Ale około szóstej wrócę do domu i będę miał cały wieczór dla siebie.

- Kate przyjedzie zrobić ci kolację?

- Nie, dzisiaj nie. W soboty jeździ ze znajomymi do miasta. Ale sam potrafię otworzyć puszkę fasolki po bretońsku.

- Wiem, że potrafisz upiec ciasto i ugotować gulasz.

- Widzę, że Paul ci się zwierzał - roześmiał się Matthew. - Niemniej w soboty jadam kolacje Pod Gęsią. Mam u nich stałą rezerwację.

- Pod Gęsią? Gdzie to jest?

- W hotelu przy wyjeździe z wioski. Więc nie martw się o mnie, nie umrę z głodu. Gdyby nie dzieci, poprosiłbym, żebyś się do mnie przyłączyła.

Zaskoczona tym, nie wiedziała, jak zareagować.

- Po kolacji wracasz prosto do domu? - zapytała.

- Niezupełnie. Wstępuję do baru na piwo, a potem jadę do Daniela pograć w karty albo popatrzeć na telewizję.

Henrietta po powrocie do domu nie mogła przestać rozmyślać o swoim szefie. Jeszcze nie spotkała kogoś takiego. Któremu to mężczyźnie w jego wieku przyszyłoby do głowy spędzać sobotni wieczór ze sparaliżowanym pacjentem albo dwa razy dziennie, rano i wieczorem, pomagać znajomemu farmerowi w dojeniu krów?

Spędziła cudowny dzień. Mollie i Keiran też świetnie się bawili. A Matthew? Przy jego powściągliwości w objawianiu uczuć trudno się było zorientować. W każdym razie przyjął zaproszenie na lunch, a to był już pewien postęp.

Kiedy w poniedziałek rano zapytała go, czy w niedzielę upiekł Paulowi ciasto albo coś ugotował, Matthew parsknął śmiechem.

- Jeśli mam być szczery, to jedzenie przygotowała Kate. Wystarczyło wstawić je do pieca. Ale faktycznie upiekłem tradycyjne ciasto biszkoptowe.

- Nadzwyczajne.

- W jakim sensie?

- W każdym. Ciasto się udało?

- Chyba tak. Ale prawdę mówiąc, byliśmy obaj z Paulem zbyt głodni, żeby wybrzydzać - odparł Matthew, siadając za biurkiem w oczekiwaniu na pierwszego pacjenta.

Idąc do swego gabinetu, Henrietta zdała sobie sprawę, że czuje się w swojej pracy nadspodziewanie

dobrze. Chyba głównie dzięki temu, iż wbrew początkowym obawom między nią a szefem przychodni nawiązuje się nie porozumienia.

- Kim jest ta ciemnowłosa laska z nogami do samej szyi? - zagadnął Gary Fenton, sadowiąc się naprzeciw doktora Cazaleta.

- Zapewne ma pan na myśli doktor Mason, która od pewnego czasu przyjmuje w naszej przychodni. Nie wiem, czy byłaby zadowolona, gdyby usłyszała, jak pan się o niej wyraża - zgromił go Matthew, sam się sobie dziwiąc, dlaczego uwaga pacjenta tak bardzo go zirytowała. Gary był właścicielem warsztatu samochodowego, miał blisko pięćdziesiąt lat i słynął ze swego upodobania do ładnych kobiet. - Na wypadek, gdyby zdarzyło się panu szukać porady u doktor Mason, radziłbym uważniej dobierać słowa, bo mogłoby się skończyć lewatywą alby przynajmniej sporą porcją rycyny.

- Zabawne, że wspomniał pan o lewatywie, bo akurat w tamtym miejscu coś się złego dzieje - odparł Gary, bynajmniej niespeszony reprimendą.

- Co konkretnie panu dolega?

- Mam krwawe wypróżnienia.

Matthew kazał mu się rozebrać, a po badaniu orzekł:

- Ma pan hemoroidy. Zapiszę maść gojącą, ale musi się pan przede wszystkim wyrzec ciężkostrawnych potraw, jeść dużo owoców i jarzyn.

Po wyjściu Gary'ego, Matthew przypomniał sobie swą wcześniejszą irytację i uznał, że przyczyną zdeenerwowania musiało być wciąż bardzo żywe wspo-

mnienie soboty spędzonej w towarzystwie Henrietty i dzieci. Nie pamiętał, kiedy po raz ostami był w tak dobrym nastroju.

Czyżby Kate miała rację? Ciotka często prosiła, żeby zaczął myśleć o ułożeniu sobie na nowo życia. Lubiła powtarzać, że Joanna na pewno by nie chciała, by opłakiwał ją do końca swoich dni. On jednak puszczał dotąd jej słowa mimo uszu.

Znali się z Joanną od wczesnego dzieciństwa, a ich miłość wybuchła, kiedy Matthew wrócił po studiach do wioski. Joanna uczyła w miejscowej szkole, uwielbiała swoją pracę i marzyła o własnych dzieciach.

Henriettę spotkał znowu podczas przerwy na lunch.

- Lubię malować i tapetować mieszkania - oświadczyła bez wstępów. - Jeśli chcesz upiększyć swój dom, chętnie ci w tym pomogę. Możemy to robić w tygodniu, nie tylko w weekendy. Oczywiście musiałabym zabierać z sobą dzieci.

Była przekonana, że na obecnym etapie ich znajomości Matthew powie tak, toteż jego niemal niegrzeczna odmowa nieprzyjemnie ją zaskoczyła.

- Może kiedyś, ale nie pali się. Nie mam zamiaru rywalizować z rezydencją twojej siostry - oświadczył.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam. Niczego takiego nie sugerowałam. Po prostu myślałam, że będzie ci przyjemnie wracać wieczorami do odnowionego domu.

- Nie przyszło ci do głowy, że ja może wcale tego nie potrzebuję?

- Ach, jeśli tak, to rób, jak chcesz. Widocznie lubisz pływać się w swoim ponuractwie. Więcej o tym nie wspomnę - rzuciła, wychodząc z pokoju.

Kiedy energicznym krokiem przechodziła przez jezdnię, zmierzając do piekarni po kanapkę, zauważyła, że mechanik z pobliskiego warsztatu samochodowego dziwnie się jej przygląda.

Po wyjściu Henrietty Matthew ogarnęły wyrzuty sumienia. Po jakiego diabła w tak nieprzyjemny sposób odrzucił jej propozycję, imputując jej jakieś ukryte motywy, których na pewno nie miała? I to teraz, kiedy zaczęli się zaprzyjaźniać? Zachował się jak gbur i idiota.

Późnym popołudniem zadzwonił do Kate, aby ją uprzedzić, że wróci do domu później niż zwykle.

- Nic nie szkodzi. Przygotuję kolację, którą można odgrzać - odparła Kate, o nic więcej nie pytając.

Po skończonej pracy Matthew wybrał się do położonego pod miastem składu materiałów budowlanych po farbę i tapety. Pamiętając o radzie Henrietty, wybierał jasne, słoneczne kolory. Następnie zawiózł zakupione materiały do przychodni w nadziei, że Henrietta ujrzy je nazajutrz rano i sama domyśli się, co chciałyby jej powiedzieć.

I sromotnie się zawiódł. Bo chociaż kubły z farbą stały w bocznym korytarzu łączącym ich gabinety tak, że Henrietta musiała się na nie natknąć, nie doczekał się żadnej reakcji z jej strony. W końcu nie wytrzymał i zajął do jej pokoju.

- Poddaję się - oświadczył. - Postawiłem ci te

puszki pod drzwiami w nadziei, że przyjmiesz to jako przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie. Nie chciałem cię dotknąć, a moja odmowa nie miała nic wspólnego z tobą. Jednak po zastanowieniu musiałem przyznać ci rację. Dom faktycznie jest w opłakanym stanie i trzeba coś z tym zrobić. Więc jeśli nadal jesteś gotowa mi pomóc, będę ci naprawdę wdzięczny. Zwłaszcza jeżeli będziesz z sobą przywozić Keirana i Mollie. Z myślą o nich kupiłem nawet dwa małe pędzle.

- To bardzo miło z twojej strony - stwierdziła, obdarzając go promiennym uśmiechem. Zaraz jednak spoważniała. - Ale ja też jestem ci winna przeprosiny. Nie powinnam była wyrzucać ci skłonności do pławienia się w pomiractwie. Za mało cię znam, aby uzurpować sobie prawo do robienia tego rodzaju uwag.

- Nie tylko nie mam pretensji, ale chcę ci wręcz podziękować - odparł z przekonaniem. - Jesteś pierwszą osobą, która odważyła się powiedzieć mi w oczy to, co zapewne wiele osób mówi za moimi plecami. Ale zapewniam cię, że nie zawsze taki byłem.

- Zadałeś sobie kiedyś pytanie, czy nie cierpisz na depresję?

- Nie. Szewc, jak mówią, bez butów chodzi. Ale nie rozmawiajmy o tym. Co byś powiedziała na propozycję zabrania się do roboty w najbliższy weekend? Oczywiście, jeśli nie masz innych planów.

- Świetnie, niczego nie planowałam.

- Ale tym razem ja zrobię lunch.

- Jeszcze lepiej! Zwłaszcza jeżeli upieczesz swoje słynne biszkoptowe ciasto.

- No nie wiem. Drugi raz może się nie udać, a nie chciałbym popsuć sobie opinii - odparł żartobliwym tonem. - Wolałbym się ograniczyć do kanapek z frytkami i ciasteczek czekoladowych.

- Też dobrze. Dzieci będą zachwycone. A czy mogłabym wpaść do ciebie przed sobotą i zwiedzić dom? To by mi pomogło ułożyć plan pracy.

- Oczywiście, choć ostrzegam, żebyś zbyt wiele nie oczekiwała. Mój skromny domek w niczym nie przypomina rezydencji twojej siostry - zauważył.

- I bardzo dobrze, bo Biały Dom trochę mnie przytłacza. Nie jestem przyzwyczajona to takich wielkich wnętrz. Po powrocie Gharlesa i Pameli mam zamiar poszukać w wiosce domu na moją miarę.

- Czy to znaczy, że chcesz tu zostać na stałe?

Henrietta popatrzyła na rysujące się za oknem pasmo wzgórz.

- Tak, zasmakowałam w wiejskim życiu - przyznała z uśmiechem. - Jeśli po powrocie Johna nie będę wam potrzebna, poszukam innej możliwości zarabiania tutaj na życie.

- A dlaczego sądzisz, że nie będziemy cię potrzebować? Obserwowałam twoją pracę i jestem zbudowany. A do tego jesteś dobrym kumplem.

- Chociaż nie pozwalam ci się pogrążyć w ponuractwie?

- Albo właśnie dlatego. - Skierował się do drzwi. - Byłabyś gotowa zwiedzić mój dom jutro w porze lunchu?

- Bardzo chętnie.

- Poza tym chciałbym prosić, abyś pojechała ze mną do pewnej pacjentki, uroczej starszej pani, która

od dawna suszyła mi głowę, że w przychodni nie ma ani jednego lekarza kobiety.

- Krępuje się mężczyzn?

- Ach, nie. Chodzi jej o równość płci.

- Bardzo słusznie - zgodziła się Henrietta.

- Mogłem się tego po tobie spodziewać - odparł z uśmiechem. - Margot Chilton jest malarką. W miejscowej galerii obrazów zawsze można zobaczyć kilka jej prac. Zajrzyj tam przy okazji. Margot cierpi od pewnego czasu na postępujący artretyzm i ma coraz większe trudności z chodzeniem, toteż od czasu do czasu ją odwiedzam. Ale dziś pojedziemy do niej z czysto towarzyską wizytą. Chcę się pochwalić, że przychodnia dorobiła się w końcu lekarki.

- Pewnie się nie przyznasz, że nie ty mnie zatrudniłeś i początkowo wcale nie byłeś moją obecnością zachwycony? - zapytała Henrietta z filuternym uśmiechem, kiedy jechali do Margot Chilton.

- Pewnie, że nie, zanadto zależy mi na jej opinii - odrzekł podobnie żartobliwym tonem. - No, chyba że się jej nie spodobasz, czego zresztą nie przewiduję.

- Jesteś okropny.

Matthew puścił te słowa mimo uszu.

- Zastanawiałem się, dlaczego ostatnio dziwnie się czuję, i doszedłem do wniosku, że za dużo się śmieję. Mięśnie twarzy nie są do tego przyzwyczajone. A to wszystko przez ciebie - oświadczył.

- Doprawdy? To znakomicie, widać kuracja skutkuje. Nie mogę gwarantować pełnego wyleczenia, ale cieszy mnie nawet częściowa poprawa.

Zatrzymali się przed niewielkim domem stojącym

pośrodku kwiatowego ogrodu tworzącego istną orgię barw. Minawszy furtkę, poszli na tyły domu, gdzie w niewielkiej altanie siedziała drobna starsza pani o siwych włosach i rumianych policzkach.

- Matthew, to ty! Nareszcie wróciłeś! - zawołała na ich widok. - Kogo mi prowadzisz? Nic nie mów, niech sama zgadnę - dodała szybko. - Pewnie wreszcie się zakochałeś i chcesz mi przedstawić swoją wybrankę.

Henrietta zaczerwieniła się po białka oczu i zapragnęła zapaść się pod ziemię. Natomiast Matthew przyjął niewczesne słowa Margot z pozornym spokojem.

- Nie zgadłaś, Margot. Nic z tych rzeczy. Ale i tak powinnaś być zadowolona, bo spełniło się inne twoje życzenie - odparł rzeczowym tonem. - Przedstawiam ci panią doktor Mason, która pracuje od niedawna w naszej przychodni.

- O rany! Ale palnęłam! - wykrzyknęła starsza pani. - Najmocniej panią przepraszam. - Z pewnym trudem wstała z krzesła i wyciągnęła rękę na powitanie. - Zapraszam was do środka na kawę, musimy zawrzeć bliższą znajomość. - Kiedy usiedli w salonie, zapytała: - Mieszka pani w naszej wiosce?

- Tak, ale nie na stałe. Przyjechałam na kilka miesięcy, żeby zająć się dziećmi mojej siostry, która razem z mężem musiała na pewien czas wyjechać.

- A jak ona się nazywa? Znam praktycznie wszystkich tutejszych mieszkańców.

- Pamela Wainwright.

- Aha! Znam Wainwrightów. Często mnie zapraszają. Mają dwójkę przemiłych dzieci. - Pani Chilton

zwróciła się do milczącego Matthew. - Powiedz, kochany chłopcze, jak było w Pakistanie.

- Ciekawie, ale na pewno nie przyjemnie.

- Modliłam się o twój bezpieczny powrót - powiedziała z powagą starsza pani.

- I widać poskutkowało, bo wróciłem cały i zdrowy - odparł Matthew, zmuszając się do uśmiechu.

Kiedy mieli wychodzić, Margot serdecznie uściśnęła dłoń Henrietty.

- Mam nadzieję zawrzeć z panią bliższą znajomość. I proszę mi wybaczyć tamtą gafę - powiedziała serdecznie.

- Ależ nic się nie stało - zapewniła ją Henrietta, omijając wzrokiem stojącego obok niej mężczyznę.

scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Przepraszam, że z mojej winy znalazłaś się w niezręcznej sytuacji. Nie przypuszczałem, że Margot wyskoczy z tak nietaktowną uwagą - powiedział Matthew, gdy ruszyli spod domu starszej pani. - Już od dłuższego czasu w wiosce panuje zmowa, żeby mnie na siłę ożenić. Twoja siostra właśnie w tym celu zaprosiła mnie kiedyś na kolację, i bardzo mnie to zirytowało.

- Wiem, Pamela potrafi być gruboskórna - przyznała Henrietta. - Ale Margot na pewno nie miała nic złego na myśli i nie warto się tym przejmować.

- Więc nie masz do mnie pretensji?

- Ani trochę. Zresztą to nie twoja wina. Nic się nie stało.

- No dobrze - rzekł z wahaniem i zaraz dodał, jakby zależało mu na kontynuowaniu tego tematu: - Pewnie dochodzisz do wniosku, że masz z mojego powodu same przykrości.

- Dlaczego?

- No bo wczoraj odrzuciłem twoją ofertę pomocy, a dziś Margot usiłowała wydać cię za mnie za męża.

- Jakoś to przeżyję, byle nie zdarzyło się nic gorszego - rzuciła ze śmiechem.

- Na przykład co?

- Druga inwazja krów na trawnik Pameli.

Matthew wyraźnie się rozchmurzył.

- Dodałaś mi otuchy. Widocznie masz do mnie odrobinę zaufania, skoro inwazja krów bardziej cię przeraża niż propozycja wyjścia za mnie za męża. Ale czy dotyczy to tylko krów, czy także innych zwierząt? - zapytał wesoło.

- Ależ nie, bardzo lubię psy i koty, konie też, a co do krów, to po prostu ich nie znam - tłumaczyła się, nieco skrepowana tym tematem.

Przyjechali tymczasem do przychodni.

- Nie zapomnij powiedzieć dzieciom o sobocie - przypomniał jej Matthew, wysiadając z samochodu. - Czy mają odpowiednie ubrania?

- Na pewno coś się znajdzie - odparła, czując przypływ radości na myśl o sobotnich planach. Mollie i Keiran wpadną w zachwyty, kiedy im powie, że będą uczestniczyć w prawdziwym malowaniu.

Jak sobie poradzi po powrocie Pameli i Charlesa? Jej życie stanie się puste. Pamela miała rację. Powinna pomyśleć o założeniu własnej rodziny.

Cóż z tego, kiedy w tym celu należałoby znaleźć męża, zaś katastrofalne zakończenie romansu z Milesem poważnie ograniczyło jej wiarę w mężczyzn.

No tak, ale teraz poznała całkiem innego mężczyznę. Matthew coraz bardziej ją fascynował. Do tego mają wiele wspólnego i mimo zrozumiałej po śmierci żony niechęci do nawiązywania nowych związków, był w gruncie rzeczy dobrym i czułym człowiekiem.

Kierownikiem administracyjnym przychodni był Douglas Hoyle, pracujący na pół etatu emerytowany księgowy, który swoje funkcje wypełniał głównie

w domu. Pod koniec dnia Matthew oznajmił Henriecie:

- Douglas chce się z nami spotkać. Chciał w tym celu przyjść jutro do przychodni po popołudniowym dyżurze, ale mu powiedziałem, że musisz wrócić do dzieci, bo w przeciwnym razie Kate musiałyby dłużej z nimi zostać.

- Więc przyjdźcie obaj do mnie, do Białego Domu.

- Naprawdę?

- Oczywiście, ale dopiero jak dzieci pójną spać.

Nie powinny do późna plątać się po domu, skoro rano wstają do szkoły. Myślisz, że Douglasowi będzie to odpowiadało?

- Na pewno.

- A tobie?

- Jasne. Zdamę przedtem pomóc Paulowi przy wieczornym dojeniu. To już ostatni tydzień. Bill oświadczył, że od poniedziałku bierze na siebie lżejsze zajęcia. Więc jesteśmy umówieni na jutro wieczór?

- Tak. Po odesłaniu dzieci do łóżek zwykle coś czytam albo rozmyślam o wydarzeniach dnia. - A także o tobie, dodała w duchu Henrietta. Nie mogła nie zauważyć niechęci, z jaką potraktował rano zasugerowaną przez Margot możliwość bliższego związku z nią. - Nie potrafię zapomnieć zwłaszcza o niektórych pacjentach.

- Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Tak. Po południu badałam mężczyznę z objawami wskazującymi na raka mózgu. Odczuwa bóle głowy, ogólne osłabienie, chwilami źle widzi. Dałam mu pilne skierowanie do szpitala na oddział neurologiczno-onkologiczny, ale wciąż o nim myślę. To

młody człowiek, niedawno się ożenił, wkrótce spodziewają się pierwszego dziecka.

- Jak się nazywa?

- David Lorimer.

- David Lorimer? O nie! - wykrzyknął Matthew.

- To wspaniały chłopak. Gra w orkiestrze dętej, prowadzonej przez jego ojca. David gra na bębnie, a jego żona Sue na klarnecie. Od dawna ma objawy?

- Od niedawna, wystąpiły nagle. Chyba powinie-
neś się z nim zobaczyć, znasz go na pewno o wiele
lepiej niż ja.

- Dobrze, że mi o tym mówisz. Jego ojciec mieszka
nieдалеko mnie, wpadnę do niego wieczorem,
żeby się czegoś dowiedzieć przed rozmową z Da-
videm.

- A jeśli ojciec o niczym nie wie?

- Będę ostrożny. W ostateczności powiem, że za-
stanawiam się nad powrotem do orkiestry - oznajmił
Matthew.

- Grałeś w orkiestrze? - zdziwiła się Henrietta.

- Owszem. Kiedyś.

- I naprawdę chcesz do tego wrócić?

- Nie.

- Dlaczego?

- Wyszedłem z wprawy. Nie grałem od czasu...
Pewnie domyślasz się, od kiedy.

- Tak - odparła, poważniejąc. - Na czym grałeś?

- Na puzonie. Raz do roku dawaliśmy uroczysty
koncert.

Kate nie wierzyła własnym uszom, kiedy Henrietta opowiedziała jej o sobotnich planach.

- No nareszcie! - zawołała. - Jakim cudem namówiłaś Matthew na odnowienie domu? Mnie nie chciał słuchać.

- Za pierwszym razem odmówił, ale potem widocznie zmienił zdanie, bo wczoraj pojechał po farby i pędzle.

- Teraz rozumiem, dlaczego wrócił tak późno.

- No właśnie. A co wy na to, dzieci? - zapytała Henrietta, zwracając się do Mollie i Keirana. - Macie ochotę zmienić dom doktora Cazaleta w elegancką siedzibę?

- No pewnie! - zawołały dzieci zgodnym chórem, po czym razem z ciotką pobiegły na górę poszukać starych ubrań, w których mogłyby pracować jako pokojowi malarze.

Zwiedzając nazajutrz rano wnętrze domu Matthew, Henrietta miała ochotę zapłakać. Dom wcale nie był taki brzydki, jak twierdził Matthew, ale tchnął całkowitym opuszczeniem. Widać było, że właściciel przychodzi tu tylko po to, żeby szybko coś przegryźć i położyć się spać.

Kiedy weszli do sypialni, Henrietta natychmiast zauważyła wielką fotografię jasnowłosej kobiety o śmiejących się oczach.

- Piękna była twój a Joanna - powiedziała. - Piękna i pełna uroku. Musieliście być bardzo szczęśliwi.

- Tak. Byliśmy szczęśliwi - odparł krótko. - Co myślisz o moim domu?

- Wcale nie jest taki okropny, jak mówiłeś, ale trzeba nad nim poważnie popracować. A to zajmie kilka ładnych tygodni - orzekła.

- Nadal chcesz się w to włączyć?
- Oczywiście, gdybym się teraz wycofała, odłożyłbyś odnawianie na święty nigdy, a do tego nie mogę dopuścić.
- Nie przesadzaj, przecież kupiłem już farby, tapety i pędzle - zaprotestował Matthew. - No to teraz trzeba tylko ustalić, kto pracuje, a kto kieruje robotą.
- Oczywiście, że ja będę wszystkim kierowała!

Kiedy nazajutrz o ósmej wieczorem Douglas i Matthew zapukali do jej drzwi, Henrietta przyjęła ich w wydekolowanej letniej sukience i lekkich sandałach. Włosy, które normalnie nosiła rozpuszczone, zaczesła tym razem do góry i spięła złotym grzebykiem na tyle głowy. Matthew oniemiał, nie mógł wprost oderwać od niej oczu.

W dodatku, kiedy odstąpiła od drzwi, wpuszczając ich do środka, przechodząc obok niej poczuł zapach perfum, których w pierwszym dniu znajomości zabronił jej używać. Czyżby umyślnie ich użyła, aby mu pokazać, że poza pracą nie ma nad nią władzy?

Od dawna pluł sobie w brodę z powodu tamtego zakazu. Powinien jej wyjaśnić, dlaczego tak się wtedy zachował, i przeprosić. Ale rzecz jasna nie w obecności Douglasa.

Tymczasem ten ostatni ze zrozumiałym podziwem rozglądał się po wspaniałym wnętrzu Białego Domu.

- Nie ma co, pięknie mieszkasz - zauważył.
- Nie jestem u siebie. Ja tylko pilnuję dzieci i domu - odparła. A zwracając się do Matthew, zapytała:
- Czy nie jesteś głodny?
- Nie. Kiedy wróciłem z farmy, Kate dała mi

kolację, więc możemy przystąpić od razu do interesów. Siądźmy i posłuchajmy, co Douglas ma nam do powiedzenia.

W głębi ducha nie miał najmniejszej ochoty słuchać raportu o finansowym stanie przychodni. Najchętniej spędziłby wieczór sam na sam z Henriettą. Jedyna nadzieja w tym, że Douglas szybko skończy.

- Mam do omówienia tylko jedną sprawę, ale za to ważną - oświadczył stary księgowy. - Czy nie uważacie, że najwyższy czas przeprowadzić generalny remont przychodni? - W tym momencie Henrietta i Matthew parsknęli śmiechem. - Powiedziałem coś zabawnego?

- Przepraszam, ale właśnie rozpoczynamy remont mojego domu - wyjaśnił Matthew - więc lepiej poczekajmy i zobaczymy, jak nam to wyjdzie. Chyba że w kasie jest dość pieniędzy na wynajęcie fachowców.

- Oczywiście, inaczej nie poruszałbym tego tematu - obruszył się Douglas. - Mamy pieniądze ze sprzedaży kawałka ziemi na tyłach budynku. To było jeszcze przed twoim przyjazdem - dodał, spoglądając na Henriettę. - Do przychodni należała pusta nieużywana działka, którą niedawno sprzedaliśmy. Więc jeżeli zgadzacie się na remont, zwrócę się do paru firm o wycenę. Co wy na to?

Kiedy Matthew i Henrietta zgodnie przyjęli jego propozycję, Douglas wstał i zaczął się żegnać.

- Szybko poszło - zauważył Matthew po wyjściu księgowego. - Na dobrą sprawę można to było załatwić w pięć minut w przychodni. Czyja też mam sobie pójść?

- Chyba że ci się spieszy. Ale jeśli nie, to przejdźmy z drinkami na werandę. Szkoda siedzieć w domu w tak piękny wieczór.

Teraz, kiedy spełniło się jego pragnienie i miał Henriettę tylko dla siebie, Matthew nie bardzo wiedział, jak się zachować. Po chwili namysłu zapytał:

- Czy czasami nie zazdrościsz siostrze zamożności i wspaniałego domu?

- Wiesz, że nie - zapewniła. - Osobiście wolę skromne, spokojne życie.

- Udane małżeństwo mogłoby ci to zapewnić - zauważył. - Nie myślałaś o wyjściu za mąż?

- Jeszcze niedawno miałam taką nadzieję - odparła.

- I co się stało, jeśli wolno zapytać?

- Mieszkaliśmy w jednym domu niemal drzwi w drzwi, zaczęliśmy się spotykać i wydawało mi się, że wyniknie z tego coś poważnego. Okazało się jednak, że on jest rozwodnikiem, o czym nie raczył mnie poinformować. Pewnego dnia odwiedziła mnie jego była żona. Powiedziała, że mają synka, ale ojciec nigdy go nie odwiedza, chociaż ma do tego prawo. Nie miałam mu za złe nieudanego małżeństwa, mogłam mu nawet darować, że mi o tym nie powiedział, ale kiedy na pytanie, dlaczego nie interesuje się własnym synem, odparł, że nie ma do tego głowy, postanowiłam z nim zerwać.

- Tak się niestety zdarza, że ludzie nie cenią tego, co mają, a ci, którzy potrafiliby swoje szczęście docenić, są go pozbawieni - stwierdził ze smutkiem Matthew. - A skoro już mowa o tych ostatnich, to muszę wrócić do sprawy twoich perfum.

- Chyba nie zamierzasz się wtrącać w to, jakich perfum używam poza pracą - oburzyła się.

- Ależ skąd. Niemniej jestem ci winien wyjaśnienie. Zamiast przyznać się, co mnie wtedy tak bardzo poruszyło, a chodziło o to, że Joanna używała tych samych perfum, odegrałem władczy szefa, który nie życzy sobie drogich pachnideł w wiejskiej przychodni. Wyobrażam sobie, co wtedy o mnie pomyślałaś.

- Więc dlaczego nie powiedziałaś, o co chodzi?

- Nie chciałem robić wrażenia sentymentalnego faceta.

- To ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mi wtedy do głowy. Odwrotnie, wydałeś mi się pewnym siebie przemądrzalcem. Dopiero później zaczęłam tę opinię weryfikować - odparła z powagą.

- A jak teraz mnie oceniasz? - zapytał.

- Nie domyślasz się? Nawet po tym, jak ofiarowałam ci pomoc w upiększaniu twego domu? A skoro o tym mowa, to Mollie i Keiran nie mogą się doczekać soboty. Przygotowali już sobie robocze ubrania. Co im dasz do malowania?

- Chyba tylną furtkę - zaproponował, podziwiając zręczność, z jaką zmieniła temat. Najprawdopodobniej daje mu do zrozumienia, iż woli ustawić ich wzajemne stosunki na czysto przyjacielskiej stopie. A skoro tak, to nie pozostaje mu nic innego, jak się z tym pogodzić. Wstał i zaczął się żegnać.

- Nie zajrzysz przed wyjściem do dzieci?

- Z największą chęcią - rzekł szybko.

Spoglądając parę minut później na pogrążoną we śnie dwójkę dzieci, poczuł wyraźnie zapach perfum

stojącej obok niego Henrietty i powodowany nagłym impulsem wziął ją w ramiona i pocałował w usta - w pierwszej chwili delikatnie, a potem gorąco i namiętnie.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, Henrietta odwzajemniła pocałunek. Pragnęła, aby ta chwila trwała w nieskończoność, lecz nagle zadała sobie pytanie, czy Matthew odurzony zapachem jej perfum nie cofnął się myślami w przeszłość i czy przypadkiem zamiast niej nie całuje wspomnienia swojej zmarłej żony. Szybko uwolniła się z jego ramion.

- Najmocniej przepraszam, poniosło mnie. Chyba pod wpływem twoich perfum i letniej nocy - powiedział.

- I samotności — dodała cicho.

- Pewnie tak - przyznał, nie patrząc jej w oczy. Odwrócił się i szybko zbiegł ze schodów.

Po jego wyjściu nie mogła znaleźć sobie miejsca. Pozamykała drzwi, zaciągnęła zasłony i położyła się do łóżka, nadal czując smak jego pocałunku. Była jednak zbyt podminowana, by zasnąć. Przewracając się na łóżku, zadawała sobie pytanie, czy powinna myśleć o mężczyźnie, który wciąż żyje wspomnieniem utraconej żony. Tak łatwo mogłaby się w nim zakochać. Matthew ma wszystkie cechy, jakimi jej przysły małż powinien się odznaczać. Czym jednak stałoby się jej życie, gdyby nieustannie musiała rywalizować z nieżyjącą Joanną, mając poczucie, że duch zmarłej zajmuje pierwsze miejsce w jego sercu?

Wracając do domu, Matthew zatrzymał się w za-

toczce i wysiadłszy z samochodu, długo obserwował zapadający zmierzch. Pragnął Henrietty od momentu, gdy ujrzał ją dziś wieczorem otwierającą drzwi. Kiedy jednak później wyrwała się gwałtownie z jego ramion, zrozumiał, co ją do tego skłoniło. Musiała pomyśleć, że całował nie ją, lecz przywołane zapachem perfum wspomnienie Joanny.

Sam w pierwszej chwili nie był pewien, dlaczego to robi, lecz gdy tylko dotknął ust Henrietty, nagle coś się w nim zmieniło. Ogarnęło go całkiem nowe uczucie, pełne czułości, gorące uczucie skierowane tylko do Henrietty, które momentalnie rozwiało czyhający w jego sercu lęk przed nowym zaangażowaniem.

Kiedy stali ramie przy ramieniu, spoglądając na uśpionych Mollie i Keirana, ogarnęło go szaleńcze pragnienie, aby mieć z Henriettą dzieci. I jednocześnie obudziła się w nim na moment równie szaleńcza wiara, iż ona to pragnienie podziela.

Postąpił głupio. Czy po tym, co się dzisiaj stało, będą zdolni harmonijnie z sobą współpracować? Jak ułożą się teraz jego stosunki z kobietą, która rozbudziła w jego sercu zapomniane od dawna tęsknoty i pragnienia?

Nazajutrz rano szkolny autobus przyjechał z opóźnieniem i w rezultacie Henrietta spóźniła się do przychodni. W miarę jak mijały minuty, czekający z bijącym sercem na jej pojawienie się Matthew coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zraziły ją wydarzenia minionego wieczoru i nie przyjedzie do pracy. Kiedy wpadła zdyszana w drzwi, z wrażenia aż zaniemówił.

- Przepraszam. Autobus spóźnił się z powodu wypadku na szosie, a nie chciałam zostawiać dzieci samych na przystanku - rzuciła niemal w biegu, kierując się wprost do swego gabinetu.

- Nic się nie stało. Najważniejsze, że jesteś.

Już miała zamknąć za sobą drzwi, ale znaczący ton, jakim wypowiedział ostatnie słowa, kazał jej się zatrzymać.

- Jeśli masz na myśli wczorajszy wieczór, to wszystko jest w porządku. Uległeś nastrojowi chwili, bo tęsknisz za Joanną i nie mam o to pretensji. Możemy być nadal przyjaciółmi.

Matthew ponownie zaniemówił. Jej oświadczenie rozmijało się całkowicie z jego uczuciami. Odkąd pocałował Henriettę, myślał tylko o niej i tylko ona stała się obiektem jego tęsknoty. Wczoraj po przyjeździe do domu skierował się wprost do sypialni i wzięwszy z nocnego stolika zdjęcie Joanny, powiedział do niej: „Zaczynam się odradzać, Joanno. Spotkałem kobietę, która wniosła światło w moje życie i wiem, że byłabyś z tego zadowolona”.

A dziś Henrietta mówi najspokojniej w świecie, że traktuje wczorajsze zdarzenie jako efekt chwilowego zamroczenia zmysłów, do którego nie warto przywiązywać wagi.

- Dziękuję za wyrozumiałość - odparł z udanym spokojem, nie chcąc pokazać, jak bardzo dotknęły go jej słowa.

Zajęta przyjmowaniem czekających niecierpliwie pacjentów Henrietta dopiero w przerwie na lunch, którą Matthew poświęcił na zamawianie dla przycho-

dni leków, miała czas się zastanowić nad ich poranną wymianą zdań.

Nie była pewna, czy jej słowa rzeczywiście przyniosły mu ulgę, a przecież wypowiedzenie ich wcale nie było łatwe. Wczoraj przed zaśnięciem jasno zdała sobie sprawę, ile Matthew dla niej znaczy i jak bardzo mogliby być ze sobą szczęśliwi, gdyby poznali się w innych okolicznościach.

Pokochała wiejskie życie, pokochała swoją obecną pracę, i wszystko byłoby wspaniale, gdyby Matthew był zdolny włączyć ją w swoje osobiste życie.

Na razie czeka ich wspólne odnawianie domu. Miała jednak nadzieję, iż nie będą się czuli skrępowani tym, co się stało.

Po skończonej konferencji z przedstawicielem firmy farmaceutycznej Matthew wyłonił się ze swego gabinetu.

- Rozmawiałem z ojcem Davida Lorimera - oznajmił.

- I czego się dowiedziałeś? - zapytała.

- Powiedział, że wie o problemach zdrowotnych Davida i bardzo się o niego niepokoi. Zadzwoiłem też do Davida i poprosiłem, żeby przyszedł do mnie do przychodni poza godzinami przyjęć. Ale tak czy tak trzeba poczekać na wyniki badań - wyjaśnił Matthew. Na koniec dodał: - A poza tym Alan zapytał, czy nie chciałbym wrócić do orkiestry.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Że się zastanowię.

Słońce stało już wysoko, kiedy Henrietta i dzieci skończyli jeść śniadanie. Wiążąc włosy w koński

ogon i chowając je pod baseballową czapką, pomyślała, że czekają miły dzień. Cieszyła ją perspektywa przybywania w towarzystwie Matthew, a dzieci były nią uradowane prawie tak samo jak ona.

Kiedy przebrani w robocze stroje zajechali pod dom Matthew, Mollie i Keiran pierwsi wyskoczyli z samochodu i rzucili się w ramiona gospodarza.

- Gotowi do ciężkiej pracy? - zapytał, a zwracając się do stojącej w drzwiach, obładowanej malarskimi narzędziami Henrietty, zauważył: - Wyglądasz jak prawdziwy fachowiec.

- Nie zapominaj, że to ja jestem szefem - zaznaczyła.

- Ależ pamiętam. Od czego zaczynamy?

- Chyba od piętra. Nie masz nic przeciwko temu, żeby zacząć od sypialni? Ty zrywaj tapety, a ja zabiorę się do oczyszczania papierem ściernym ram okiennych i drzwi - zaproponowała.

- W porządku, ale nie pracujmy oboje w jednym pokoju, bo będziemy wchodzić sobie w drogę.

- Masz rację. A co z dziećmi? Co im przydzielisz?

- Niech się zajmą furtką do ogrodu. Na stole w kuchni zostawiłem dla nich dwa pędzle i puszkę podkładu.

- A jeśli nabrudzą?

- Nie ma obawy. Kate przygotowała plastikowe arkusze do rozłożenia na chodniku, żeby go zabezpieczyć przed zachlapaniem. A do tego upiekła ciasto i naszykowała inne smakołyki.

To powiedziawszy, Matthew pokazał dzieciom, co mają zabrać, i zaprowadził je na tył ogrodu do zarzewiałej furtki.

- Najpierw trzeba usunąć rdzę i resztki starej farby. Do tego służy papier ścierny. - Pokazał im, jak się to robi. - Kiedy uznacie, że furтка jest oczyszczona, zwołajcie Henriette, a ona was nauczy, jak położyć podkład. Wszystko jasne?

- Tak jest - zwołali jednogłośnie Molly i Keiran, biorąc się ochoczo do szorowania furtki.

- Nasi młodzi malarze pracują aż miło - poinformował Henriette po powrocie do domu. - Zameldują się u ciebie, jak skończą oczyszczanie. - Naciągnąwszy na siebie biały kombinezon, ruszył w stronę schodów. - Wiesz, gdzie mnie szukać, ale jak przyjdzie pora na lunch, wystarczy zwołać.

Spod baseballowej czapki obserwowała go para rozradowanych piwnych oczu. Henriecie dawno nie było tak ciepło na sercu. Miała wrażenie, że on też jest uszczęśliwiony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy po paru godzinach pracy usiedli przy stole, posilając się przygotowanym przez Kate jedzeniem, Keiran spojrział na Matthew i ni stąd, ni zowąd zapytał:

- Czy twój dom jest taki smutny, bo nie masz dzieci?

- Uważasz, że jest smutny? - z namysłem powtórzył właściciel domu. - Może byłby weselszy, gdyby były w nim dzieci, ale musiałyby mieć matkę.

- Jesteś w takiej samej sytuacji jak ciocia Henny - zauważył chłopiec. - Ona też nie ma dzieci. Nie ma nawet narzeczonego. - Na te słowa Henrietta zasłoniła sobie ręką oczy. Czuła, co będzie dalej. - Mówi, że nie chce męża, ale naszym zdaniem wcale tak nie jest i gdybyś jej się oświadczył, na pewno wy szłaby za ciebie. Prawda, Mollie?

- Na pewno. A ja byłabym druhną na ślubie i sypałabym kwiatki - rozmarzyła się jego siostra.

- To bardzo pięknie, ale na razie pójdziecie oboje malować furtkę - wtrąciła szybko Henrietta, wstając od stołu.

Kiedy po wyjściu dzieci odważyła się spojrzeć na Matthew, na jego twarzy dojrzała uśmiech.

- Nie przejmuj się, widać do swatania zabierają się dzisiaj nawet dzieci - rzekł łagodnie. - Ale Keiran

ma rację. W moim domu panuje smutek. Ale teraz to się zmieni.

- Cieszę się, że tak czujesz.

- Czuję to od samego rana, od waszego przyjazdu.

Odkąd w pustych pokojach rozległy się wasze wesole głosy.

- I rozszedł się zapach farby - dodała ze śmiechem.

- O tak. Tego też od dawna w moim domu nie było. - Przeciagnawszy się, wstał od stołu. Sprawiał wrażenie, jakby pozostałe słowa Keirana w ogóle nie dotarły do jego uszu.

Kończąc zdzieranie tapet, Matthew zastanawiał się, jak Henrietta przyjęła dziecięce słowa wypowiedziane podczas lunchu. Od paru dni nachodziło go wspomnienie ich jedyne go pocałunku. Tamtego wieczoru widok jej smukłej figury, podkreślonej krojem letniej sukienki z dekoltem, i upajający zapach perfum, które nabrały dla niego teraz nowej wartości, sprawiły, iż przestał się kontrolować i od tej pory nieustannie o niej myślał.

Po skończonym remoncie zaprosi ją do restauracji i z własnej woli, nie czekając na dziecięce podpowiedzi, wyzna jej swoje uczucia.

Późnym popołudniem wszyscy mieli dosyć.

- Koniec roboty, ogłaszam fajrant! - zawołała Henrietta. - Wszyscy jesteśmy wykończeni. Jutro zaczynamy od samego rana, ale ponieważ będzie niedziela, proponuję uroczysty lunch w dobrej restauracji. Matthew wskaże nam najwłaściwsze miejsce.

- Świetna myśl - poparł ją Matthew. Odprowa-

dzając ich do furtki, powiedział: - Wybieram się dziś wieczorem do Davida Lorimera i jutro będę coś wiedział.

Popatrzyła na niego z podziwem.

- Wiesz, niejedno w życiu widziałam, ale musiałam przyjechać do małej wioski, żeby poznać tak oddanego pacjentom lekarza jak ty. Nic dziwnego, że cieszysz się takim szacunkiem. Jeśli kiedyś zachoruję, chciałabym mieć w pobliżu właśnie ciebie.

- Ja też chciałbym być wtedy pod ręką - odparł.

Nazajutrz rano powitał ich przy furtce z jeszcze większym rozradowaniem niż poprzedniego dnia.

Dzieci też wydawały się uszczęśliwione, natomiast Henrietta uśmiechała się wprawdzie, lecz wyglądała trochę mizernie.

- Źle się czujesz? - zapytał.

- Nie, nic mi nie jest. Po prostu źle spałam.

W rzeczywistości prawie nie zmrużyła oka, i to mimo zmęczenia całodziennym wysiłkiem. A wszystko przez niego.

- Czy perspektywa kolejnego dnia harówki spędza ci sen z oczu?

- Ach nie. Uwielbiam patrzeć, jak ponure barwy ustępują miejsca jasnym i wesołym. Odnawianie działa na mnie kojąco.

- Paplanie Keirana też?

- No nie, o tym najlepiej zapomnijmy.

Przypomniała sobie sen, jaki nawiedził ją ostatniej nocy, kiedy wreszcie zdołała się zdrzemnąć. Szła w ślubnej sukni do ołtarza miejscowego kościoła, a za nią postępową małą Mollie, sypiąc kwiatki.

Przed ołtarzem stał pan młody, w którym od razu rozpoznała Matthew, chociaż był odwrócony do niej plecami. Kiedy jednak podeszła bliżej, ujrzała u jego boku inną pannę młodą - złotowłosą kobietę o śmiejących się oczach. Całkowicie nią zaprzątnięty, Henrietty w ogóle nie zauważył.

Wtedy ona rzuciła się do ucieczki, ale po drodze wpadła w ramiona Milesa. Doprowadzona do rozpaczy, zebrała fałdy sukni i wybiegła z kościoła.

Sen był mieszanką dziwacznie zniekształconych niedawnych wydarzeń i wspomnień. Niemniej zrobił na niej deprymujące wrażenie. Leżąc potem w ciemnościach i nie mogąc zasnąć, pomyślała, że zawiera istotne przesłanie, to mianowicie, iż żaden z występujących w nim mężczyzn nie był jej przeznaczony - Miles z powodu swego stosunku do dzieci, a Matthew, ponieważ jego serce należało do innej.

Nie ma rady, trzeba się z tym pogodzić. Toteż gdy w niedzielny poranek obudziły ją dźwięki kościelnych dzwonów, wstała smutna, lecz uspokojona. Podeszła swoim zwyczajem do okna i ogarnęła wzrokiem rozległy wiejski pejzaż z głębokim przekonaniem, że kocha to miejsce i chce tu zostać bez względu na to, jak potoczą się jej osobiste losy.

Teraz jednak, czując na sobie intensywne spojrzenie ciemnych oczu Matthew, zdała sobie sprawę, że bez niego jej życie w tym wymarzonym otoczeniu będzie puste i pozbawione sensu. Pchała ją ku niemu jakaś przemożna siła.

- Jeśli chodzi o lunch, to proponuję restaurację Barnaby's na skraju wioski. Dzieciom na pewno się

spodoba - powiedział Matthew, przerywając jej zadumę. - Ja bym jej nie wybrał, a Pamela byłaby moim pomysłem zgorszona, ale dzieci uwielbiają tamtejsze jedzenie. W Barnaby's podają popularne dania, takie jak hamburgery, frytki i mleczne koktajle.

- Najważniejsze, żeby dzieci były zadowolone - zgodziła się Henrietta. - Ale nie musisz przy tej okazji robić z mojej siostry potwora. Pamela lubi postawić na swoim, ale jest dobrą, kochającą matką, która nie odmawia dzieciom drobnych przyjemności.

- Przepraszam, nie chciałem cię dotknąć - odparł, zbierając pędzle i tapety i kierując się ku schodom. - Ale, ale - dodał, zatrzymując się na pierwszym stopniu. - Byłem wczoraj u Davida Lorimera i dokładnie go zbadałem. Miałaś rację, wiele wskazuje na nowotwór. Zadzwoń jutro do szpitala, żeby jak najszybciej przyjęli go na badania.

Dzieci faktycznie czuły się w Barnaby's jak w siódmym niebie. Ku zadowoleniu Matthew i Henrietty dawały głośny wyraz swojej radości, zwracając na siebie uwagę starszej pani przy sąsiednim stoliku.

- Macie państwo rozkoszne dzieci. Chłopiec jest podobny do pani, a dziewczynka to wykapany tata - powiedziała w pewnym momencie.

- Cicho! - syknęła Henrietta, widząc, jak Keiran otwiera usta, by zgłosić sprostowanie.

- W niedzielę rano chodzę zwykle z przyjaciółkami na zakupy, ale jak zgłodniejemy, nasze drogi się rozchodzą, bo one wolą pójść do eleganckiego lokalu, a ja uwielbiam burgery - ciągnęła starsza pani.

Kiedy po paru minutach rozmowna sąsiadka opuściła lokal, Matthew mruknął:

- Co my mamy w sobie takiego, że biorą nas za parę?

- Nie mam pojęcia - z udaną obojętnością odparła Henrietta. - I niewiele mnie to obchodzi.

Powiedziała to bez uśmiechu, jakby celowo chciała dać do zrozumienia, że ma w nosie, co ludzie sobie pomyślą na ich temat. Jak by wobec tego zareagowała, gdyby jej wyznał, co kilka dni temu powiedział Joannie: że spotkał osobę równie wyjątkową jak ona, i choć nigdy o niej nie zapomni, to zaczyna teraz żyć na nowo?

Przyjdzie czas, kiedy powie Henriecie, co do niej czuje, ale zrobi to po swoim, w momencie, który sam wybierze.

Reszta niedzieli upłynęła im na wytężonej pracy. Matthew i Henrietta w milczeniu oklejali tapetą sypialnię, natomiast Keiran i Mollie z zapałem kończyli malować furtkę, kładąc ostatnią warstwę zielonej farby.

Kiedy nadszedł wieczór, Matthew rzekł na pożegnanie:

- Nie wiem, jak ci dziękować za poświęcenie mi całego weekendu. Jeśli kiedyś zdecydujesz się kupić w naszej wiosce dom, będę szczęśliwy, mogąc ci się odwdzięczyć.

Czyli nie zamierza mnie prosić, abym zamieszkała razem z nim, przemknęło Henriecie przez głowę.

- Nie musisz się odwdzięczać. Przyjedziemy znowu za tydzień - rzuciła lekkim tonem. - Jeśli nie masz nas dosyć.

- Wręcz odwrotnie. A skoro już jesteś tak dobra, to byłbym wdzięczny, gdybyś w ciągu tygodnia pomogła mi wybrać zasłony i dywany. Poproszę w miejscowym magazynie o przysłanie próbek.

- Z miłą chęcią, nie wiem tylko, kiedy byśmy mieli to zrobić, skoro w dzień jesteście oboje zajęci pracą, a ja wieczorami muszę być z dziećmi w domu

- odparła tym samym lekkim tonem.

- A gdybym wpadł wieczorem do Białego Domu?

- No... tak, oczywiście - rzekła z wahaniem, pamiętając, jak się skończyła jego ostatnia wizyta.

Jednakże po namyśle doszła do wniosku, że tym razem na pewno nie wydarzy się nic podobnego. Niechęć, jaką Matthew zareagował na uwagę starszej pani, która wzięła ich za małżeństwo, wyraźnie wskazuje, że nie ma wobec niej poważnych zamiarów.

Parę dni później David Lorimer pojechał do szpitala na badania, które potwierdziły wstępne rozpoznanie Henrietty. Specjaliści stwierdzili obecność guza na przysadce mózgowej. Diagnoza pogrzyżyła rodzinę Davida w zrozumiałej rozpacz, ale on sam zaimponował Matthew swoim optymizmem.

- Specjalista, który mnie badał, jest zdania, że nowotwór trzeba jak najszybciej usunąć - oznajmił.

- Kiedy mu powiedziałem, że żona spodziewa się dziecka, niemal się ucieszył. Podobno nowotwór zmniejsza liczbę plemników w nasieniu i teraz miałbym trudności z zapłodnieniem - dodał z uśmiechem.

- Mówił też, że nowotwory przysadki bywają na ogół łagodne, więc jeśli nie będzie nieprzewidzianych

komplikacji, powinienem szybko wrócić do zdrowia. A ja o mało nie rozplakałem się z radości.

- Nic dziwnego - odparł Matthew. - Kiedy będzie cię operował?

- Najdalej za dwa tygodnie. Żonie i rodzicom od razu poprawiły się humory. Z ojcem zacząłem się nawet droczyć, że najbardziej boi się stracić kolejnego członka orkiestry. - To powiedziawszy, Dave pożegnał się i wrócił do domu, do swej kochającej rodziny.

Natomiast Matthew udał się do gabinetu Henriety! by jej przekazać ważną wiadomość. Na koniec zapytał:

- Co byś powiedziała, gdybym umówił facetów ze sklepu z dekoracyjnymi tkaninami na piątek? Nie jesteś zajęta?

- Nie. Piątek mi odpowiada. Dzieci pójdą wcześniej do łóżek, żeby odespać zaległości, a ja nie mam żadnych planów na piątkowy wieczór. Zresztą jak zwykle.

- Nie brakuje ci życia towarzyskiego?

- Właściwie nie. W domu siostry jest mi bardzo wygodnie, a wieczorami i tak nie mogę wychodzić, bo po pierwsze, nie mam dokąd, a po drugie nie miałabym serca prosić Kate, żeby siedziała z dziećmi do późnej nocy. I bez tego jest zajęta.

- Ja mógłbym z nimi zostać.

- Dziękuję, gdyby zaszła taka potrzeba, na pewno cię poproszę. Ale na razie nigdzie się nie wybieram.

Od niedzieli ich stosunki lekko się ochłodziły, lecz nie na tyle, by nie mogli ze sobą przyjaźnie rozmawiać.

Agent ze sklepu z materiałami dekoracyjnymi był umówiony na ósmą. Matthew zadzwonił do drzwi Białego Domu parę minut wcześniej.

- Mów cicho, bo Keiran i Mollie jeszcze nie zasnęli i gotowi przylecieć tu w piżamach - rzekła Henrietta, widząc go.

- Jutro sobota, nie muszą wcześniej wstawać.

- Wiem, ale mamy się skoncentrować na wybieraniu próbek, a nie na zabawie z dziećmi.

- Jakie kolory mi radzisz? - zapytał, wchodząc do salonu i spoglądając na jasny dywan. - Chyba ciemniejsze niż to?

- Dlaczego? Mieszkasz sam, tylko ty będziesz po nim chodził.

- Może nie zawsze będę sam.

Jego słowa zaboląły Henriettę. Wypowiedział jej mężczyzna, któremu nie podoba się, kiedy ktoś podejrzewa go o bliższe związki z nią, więc na pewno nie ją bierze pod uwagę jako ewentualną współmieszkanekę swego domu.

Na szczęście w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi oznajmiający przybycie agenta, toteż przez następne dwie godziny mówili tylko o kolorach i gatunkach materiałów.

- Myślisz, że bladezielona wykładzina i złote zasłony będą pasowały do ścian i mebli? - zapytał nieco oszołomiony Matthew.

- Na pewno, bądź spokojny - odparła. - Zobaczysz, jak zrobi się u ciebie jasno i wesoło. Będzie ci żał wychodzić z domu.

- Zależy, kto jeszcze w nim zamieszka.

Henrietta ponownie poczuła ból w sercu. Widać

Matthew myśli poważnie o założeniu nowej rodziny, a jej wyznaczył rolę kogoś w rodzaju przyjaznej niezamężnej ciotki.

Około dziesiątej sprzedawca wyszedł zadowolony z poważnego zamówienia, obiecując, że za trzy tygodnie wszystko będzie gotowe.

Kiedy wróciła do salonu po odprowadzeniu handlowca, Matthew powiedział:

- Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz. Zaraziłaś mnie swoim zapałem i nie mogę się już doczekać, kiedy dom będzie gotowy. Jesteśmy umówieni na jutro?

- Oczywiście - odparła, siłąc się na uśmiech. - Cieszę się, że jesteś w dobrym nastroju.

Chciała, by sobie poszedł, ale jednocześnie bała się, aby się nie domyślił, że jest w nim zakochana i pragnęłaby z nim zamieszkać w odnowionym domu. Dlatego milczała, a on też nic nie mówił. Obojgu ambicja nie pozwalała wyrazić swoich uczuć. W końcu nabrzmiałą ciszę przerwała Henrietta.

- Mogę ci przed wyjściem zaproponować kawę?

Ku jej zaskoczeniu chętnie się zgodził. Poszedł za nią do kuchni i asystował przy parzeniu, a gdy na koniec usiedli obok siebie w salonie na kanapie, odezwał się:

- Słyszałem od dzieci, że w przyszłą sobotę wyjeżdżają ze szkołą na cały dzień nad morze.

- To prawda. Autobus przyjedzie po nich o ósmej rano, a wrócą o wpół do ósmej wieczorem. Ale ja i tak przyjadę do ciebie pomagać w malowaniu.

- O nie. Tym razem zapomnijmy o malowaniu.

Mam inny plan. Co byś powiedziała na wspólny dzień? Oczywiście po rannym dyżurze. Muszę tylko po południu wziąć udział w meczu krykieta.

- Bardzo chętnie, pod warunkiem, że nie wypadnie mi nic innego - odparła.

Nie była pewna, czy ma się cieszyć z zaproszenia, czy czuć się dotknięta tym, iż z góry założył, że zostanie przyjęte.

- Wybacz mi, nie pomyślałem, że możesz mieć swoje własne sprawy.

- Nic się nie stało - rzekła z uśmiechem. - Z przyjemnością spędzę wolny dzień w twoim towarzystwie.

Matthew natychmiast się rozpogodził.

- Dziękuję - powiedział. - No więc zrobmy tak. Po tym, jak odwieziesz dzieci do autobusu, a ja skończę poranny dyżur, proponuję wspólne zakupy, a potem lunch w restauracji. Po południu wbiję się w białe spodnie i pojedziemy na błonia, gdzie będzie się odbywał mecz. Kate też tam będzie. Z innymi paniami przygotowuje poczęstunek.

- Brzmi to zachęcająco - przyznała Henrietta, której nastrój wyraźnie się poprawił. - O ile oczywiście nie ma nikogo innego, z kim wolałbyś spędzać czas.

Nie bardzo rozumiał, co miała na myśli.

- Nie ma nikogo takiego. - Wstał z kanapy i zaczął się żegnać. - Nie zapomnij po moim wyjściu włączyć zabezpieczenia alarmowe.

- Dziękuję za przypomnienie. - Patrząc, jak Matthew schodzi ze schodków i wsiada do samochodu, pomyślała, że byłoby idealnie, gdyby zatroszczył się nie tylko o jej bezpieczeństwo, ale i jej szczęście.

Natomiast on doszedł w drodze do domu do przekonania, że posunął naprzód sprawy związane z urządzeniem domu, a do tego stworzył sobie możliwość zacieśnienia znajomości z Henriettą. Pomysł wspólnego spędzenia soboty wyraźnie jej się spodobał, choć nadal zachowywała dystans.

Może się obawia, że pierwsze miejsce w jego sercu nadal zajmuje Joanna. Gdyby tak było, to powinien rozwiązać jej obawy, choć nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Niemniej w sobotę będą sobie mogli wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

Ku wielkiej uldze rodziny i samego zainteresowanego, Davida Lorimera już po tygodniu poddano operacji. Dzień później jego ojciec odwiedził Matthew w przychodni.

- Operacja się udała, guz usunięto, ale dopiero za parę dni będzie wiadomo, jaki był - oznajmił. - Niemniej jesteśmy wam niezmiernie wdzięczni za tak szybkie rozpoznanie.

- Wdzięczność należy się nie mnie, ale doktor Mason, bo to ona postawiła właściwą diagnozę - odparł Matthew.

- Przekaż jej ode mnie najgorętsze podziękowania - poprosił pan Lorimer. - A co z orkiestrą? Wszyscy ogromnie się ucieszą, jeśli do nas wrócisz.

- Mam taki zamiar, ale daj mi trochę czasu. Nie wiem nawet, gdzie schowałem instrument - odparł Matthew z uśmiechem. - Na razie zrobiłem pierwszy krok i w najbliższą sobotę zagram w krykieta.

Kiedy po rozmowie z ojcem Davida wybierał się na domowe wizyty, przed przychodnią zobaczył

Henriette, która zapewne w tym samym celu zmierzła do samochodu. W brązowej lnianej sukience i kremowym żakiecie wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Matthew miał ochotę chwycić ją w ramiona i obsypać pocałunkami. Zamiast tego wsiadł do samochodu, ale przejeżdżając obok niej, zawołał:

- David Lorimer był wczoraj operowany i operacja się udała! A co do nas, to umowa na sobotę jest nadal ważna?

- No nie wiem... To znaczy, tak.

- Cieszę się, że nic się nie zmieniło - stwierdził, udając, że nie dostrzegł jej wahania.

A Henrietta rzeczywiście miała wątpliwości. Nie była pewna, dlaczego Matthew zaproponował jej wspólne spędzenie soboty, zwłaszcza że w odróżnieniu od poprzednich sobót, kiedy towarzyszyły im dzieci, tym razem będą zdani wyłącznie na siebie. Zadumana wsiadła do samochodu i wyruszyła na wizytę do Thomasa Saxby'ego, starszego pana, który mieszkał w położonym za wsią starym domu obok dawno nieczynnego koła wodnego.

Mężczyzna otworzył Henriecie drzwi, wspierając się na lasce.

- Zapraszam - powiedział, robiąc jej przejście.

- Stałem wczoraj na brzegu rzeki i tak się zapatrzyłem na walczącą ze sobą parę zimorodków, że zrobiłem nieostrożny krok, pośliznąłem się i upadłem, i od tej pory bołą mnie plecy. Przepraszam, ale nie zdążyliśmy się poznać. Spodziewałem się zobaczyć doktora Cazaleta. Mam nadzieję, że nie jest chory. Słyszałem, że przebywał dłuższy czas w Pakistanie.

- Nie, nic mu nie jest. Z Pakistanu wrócił parę tygodni temu. A ja od niedawna pracuję w przychodni i nazywam się Henrietta Mason.

- No cóż, żyję tu sam jak palec i wieści z wioski późno do mnie docierają - westchnął starszy pan.

Henrietta poprosiła go o zdjęcie koszuli i rozpoczęła badanie. Po paru minutach rzekła:

- Ma pan posiniaczone plecy, ale kręgosłup nie jest uszkodzony. Zapiszę panu żel, który zlikwiduje stan zapalny i złagodzi ból, i zajrzę do pana za parę dni. Jeszcze dziś podrzucę receptę do apteki. Gdyby jednak ból nie mijał, proszę zadzwonić, a ja zorganizuję panu transport na prześwietlenie.

- Bardzo pani dziękuję, ale chyba nie będę w stanie odebrać leku z apteki - zaniepokoił się pan Saxby.

- Proszę się o to nie martwić, apteka dostarczy lek do domu.

- Ach, to świetnie - ucieszył się. - I będę wdzięczny, jeśli pozdrowi pani ode mnie doktora Cazaleta. On i jego żona stanowili uroczą parę.

- Na pewno przekażę mu pozdrowienia - odparła.

Ostatnie słowa starszego pana uświadomiły jej własną obcość wśród znających się od dziesiątków lat mieszkańców wioski. I chociaż wiedziała, że z czasem to poczucie minie, to jednak nie była pewna, czy ma ochotę zapuszczać tutaj korzenie, jeżeli Matthew nie odwzajemni jej uczuć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Odwiedziłam dzisiaj Thomasa Saxby'ego. Kazał cię pozdrowić - rzekła Henrietta podczas przerwy na lunch.

- Jest chory?

- Przewrócił się i potłukł.

'- Poważnie?

- Chyba nie. Zapisałam mu maść i obiecałam znów zajrzeć.

- To świetny gość. Kiedy byłem nastolatkiem, zabierał mnie na podglądanie ptaków.

- Zazdroszczę ci dzieciństwa na wsi - zauważyła z westchnieniem.

- Dla starszych wieś też jest atrakcyjna.

- To prawda. Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

Twarz mu spochmurniała.

- Matka umarła, kiedy miałem trzynaście lat, a ojciec ożenił się powtórnie i wyjechał za granicę. Chciał mnie zabrać, ale wolałem zostać z Kate. Na Boże Narodzenie wysyłałyśmy sobie życzenia, i to właśnie wszystko - wyjaśnił. - A twoi rodzice?

- Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam siedemnaście lat, a Pamela dwadzieścia dwa. To ona przejęła rządy w domu i opiekowała się mną jak matka, nawet po wyjeździe na studia. Pamela znakomicie funkcjonuje w trudnych sytuacjach, jest

specjalistką od rozwiązywania życiowych problemów. Gdy wyszła za mąż, nasze stosunki trochę się rozluźniły, ale pojawienie się dzieci na nowo nas zbliżyło. No i tyle. Sam widzisz, jak niewiele mam o sobie do powiedzenia.

- Jedno niewątpliwie nas łączy - zauważył Matthew. - Oboje wcześniej straciliśmy rodziców. Po ślubie z Joanną miałem nadzieję stworzyć prawdziwie rodzinny dom, ale i to zostało mi odebrane. W sumie jedynym stałym punktem w moim życia była i nadal pozostaje Kate.

- Jest niezwykle ciepłą osobą - przytaknęła Henrietta. - Dzieci przepadają za nią, a ja mam do niej absolutne zaufanie. Nigdy nie wyszła za mąż?

- Nie. Miała kilku wielbicieli, ale żaden nie trafił jej do przekonania. Kiedy pytam, czy to nie ja pozabawiam ją osobistego życia, Kate tylko się śmieje. - Matthew zadumał się, a po chwili dodał: - Ludzie, którzy w młodości nie zaznali rodzinnego życia, reagują na to na dwa sposoby. Albo zostają samotnikami, albo przy pierwszej okazji starają się ten brak zrekompensować, zakładając własny dom. Jak myślisz, do której kategorii należymy ty i ja?

- Bo ja wiem, chyba po trosze do obu - odparła z wahaniem, nie wiedząc, do czego Matthew zmierza. - Co do mnie, to wprawdzie wcześniej nauczyłam się samodzielności, ale też chciałabym wyjść kiedyś za mąż i mieć dzieci. - Nagle roześmiała się. - Gdyby tylko Keiran i Mollie przestali mnie poganiać. Nie zapomnę ich zdumienia, kiedy im powiedziałam, że z nikim się nie spotykam.

Matthew też zaczął się śmiać.

- A ja nie zapomnę twojej miny, kiedy Keiran próbował nas wyswatać. I wcale ci się nie dziwię. Ja też nie lubię, kiedy inni mówią mi, co mam robić. Wolę sam decydować.

- Więc się zgadzamy - dodała, kładąc kres tej trochę dziwnej rozmowie. - Przepraszam, ale muszę się przygotować do popołudniowego dyżuru.

Matthew tylko westchnął.

Jadąc do domu pod koniec dnia, Henrietta wróciła myślami do ich ostatniej rozmowy. Ona i Matthew mają tak wiele wspólnego. Oboje dorastali bez rodziców, oboje są lekarzami, oboje kochają dzieci. I oboje upodobali sobie wiejskie życie. Dlaczego więc nie potrafią się do siebie zbliżyć?

- Masz jakieś zmartwienie? - zaniepokoiła się Kate, kiedy Henrietta weszła do kuchni.

- Nie.

- Oj, widzę, że coś leży ci na sercu. Czy przypadkiem nie z powodu Matthew?

Henrietta była zbyt przygnębiona, żeby się wykręcać.

- Zgadłaś. Tylko błagam, nic mu nie mów. Widzisz, Keiran i Mollie próbują nas wyswatać, a poza tym dwoje obcych ludzi wzięło nas za parę. Matthew był z tego bardzo niezadowolony.

Pocziwa Kate westchnęła z głębi serca.

- Kocham go jak własnego syna, ale chyba jest ślepy, jeżeli nie widzi, jakie szczęście mu się trafiło, odkąd jesteście z nami.

Henrietta uśmiechnęła się smutno w odpowiedzi.

Kiedy w sobotni rano odsłoniła okno, niebo zasnuwały ciemne chmury i padał rześisty deszcz.

Parę minut później spotkała ją kolejna przykrość. Mollie obudziła się z wysoką temperaturą i stało się jasne, że nie może jechać z dziećmi na wycieczkę. Dziewczynka rozpłakała się z żalu i rozpogodziła się dopiero, kiedy Keiran obiecał przywieźć jej prezent. Niemniej była rozpalona i miała mdłości, więc Henrietta nie mogła ruszyć się z domu, a przecież ktoś musiał odwieźć Keirana na miejsce zbiórki. Nie było rady, musiała poprosić Matthew o ratunek.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale potrzebuję twojej pomocy - powiedziała, kiedy podniósł słuchawkę.

- Co się stało? - zapytał. A słysząc w tle płacz dziecka, zapytał: - Czy to Mollie?

- Tak, jest choro. Ma gorączkę i wymioty, więc muszę ją zatrzymać w domu. Keiran czuje się dobrze, a ja dzwonię zapytać, czy nie mógłbyś go odwieźć do autobusu.

- Oczywiście - zgodził się bez wahania. - O której mam po niego przyjechać?

- Za kwadrans ósma, jeśli możesz.

- Jasne, będę za piętnaście ósma.

- Bardzo mi przykro, ale musimy zrezygnować z naszych planów na dzisiaj - dodała z żalem.

- Nieważne - odparł. - Najważniejsze jest zdrowie Mollie. Będę u was za pół godziny.

Nieważne? - pomyślała z urazą, odkładając słuchawkę. To po co się ze mną umawiał?

- Ach, ciociu, jestem taka zawiedziona - chlipnęła Mollie przez łzy.

- Wiem, kochanie, i bardzo ci współczuję - odparła Henrietta, głaszcząc siostrzenicę po główce. Sama też była głęboko rozczarowana. Najbardziej z powodu niefrasobliwej reakcji Matthew na odwołanie ich dzisiejszych planów.

Jechał do Białego Domu w smętnym nastroju. Świat tonął w strugach deszczu, a otaczające wioskę wzgórza zasnuwała szara mgła. Wszystko wyglądało nie tak, jak sobie wymarzył. Współczuł Mollie, lecz główną przyczyną jego przygnębienia był zawód, że ominie go upragniony dzień z Henriettą. Rozmawiając z nią przez telefon, powiedział „nieważne”, nie chcąc jej dodatkowo obciążać poczuciem, że to z jej powodu spotkanie nie może dojść do skutku. Ma teraz dosyć kłopotu z chorym dzieckiem.

Keiran i Henrietta czekali na niego w holu na dole.

- Na wypadek, gdybyś wieczorem nie mogła zostawić Mollie samej, z góry obiecuję, że wyjadę po niego o siódmej i odbiorę z autobusu - zapowiedział.

- A jak mała?

- Przed chwila zasnęła. Mam wrażenie, że temperatura trochę spadła, ale i tak nie mogę jej zostawić. Może powinnam zadzwonić do Pameli?

- Jeszcze poczekaj. Po co ma się niepotrzebnie martwić. Zdasz zadzwonić, gdyby Mollie poczuła się gorzej, ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Henrietta była nadal w szlafroku, tym samym, który miała na sobie podczas pamiętnej nocy inwazji krów, i w dzisiejszym zaaferowaniu nie zdawała sobie sprawy, jak pociągająco w nim wygląda. Nie

uszło to jednak uwadze Matthew, niemniej opanował się na tyle, by zapytać:

- Mamy jeszcze parę minut. Pozwolisz, że zajrzę do Mollie?

Prowadząc go do sypialni, Henrietta spostrzegła w lustrze własne odbicie i zawstydzila się swych rozczochranych włosów i nieprzyzwoitego stroju. Nic jednak nie mogła na to poradzić, więc szybko o tym zapomniała, zwłaszcza gdy w pokoju Matthew zaczął z niezwykłą czułością badać śpiącą dziewczynkę. Patrząc na niego, pomyślała, że gdyby doczekała się kiedyś własnych dzieci, chciałaby, aby to on był ich ojcem.

- Gorączka wyraźnie spadła, ale dzwoń do mnie, gdyby mała znów źle się poczuła - powiedział, prostując się.

- Dziękuję, dam sobie radę, i tak popsułam ci dzień - odparła. - Nie musisz wyjeżdżać wieczorem po Keirana. W każdym razie dam ci znać, czy mogę go odebrać z autobusu.

Matthew pokręcił głową.

- Ale z ciebie Zosia Samosia! - burknął. - Pozwól sobie czasami pomóc. W końcu od tego są przyjaciele. - Przeniósł wzrok na czekającego niecierpliwie Keirana. - Idziemy, młody człowieku! - rzucił, biorąc chłopca za rękę.

Około południa niebo zaczęło się przecierać, ustał deszcz, a zza chmur wyłoniło się słońce. Razem z pogodą poprawiło się samopoczucie Mollie. Temperatura wróciła do normy, mdłości ustąpiły. Henrietta również odzyskała animusz. Zaczęła się zastanawiać,

co zrobić z resztą dnia. Po odwiezieniu Keirana i odbyciu porannego dyżuru Matthew wybrał się pewnie na samotny lunch. Zastanawiała się, czy do niego zadzwonić, ale w końcu uznała, że nie będzie zwracać mu głowy.

Niemniej po południu mogłaby zabrać Mollie na mecz krykieta. Oczywiście, jeżeli trawa zdąży wyschnąć i zawody nie zostaną odwołane.

Matthew zrezygnował z lunchu w restauracji. Wrócił z przychodni prosto do domu i zabrał się do malowania. Nie rozumiał, dlaczego Henrietta nie chciała skorzystać z jego pomocy, mimo że rano sama do niego zadzwoniła. Nie pojmował, dlaczego później zmieniła zdanie.

Wszedłszy do sypialni, znalazł tam rozłożony na łóżku świeżo uprany i odprasowany strój do krykieta. Widać Kate uznała, że za długo leżał w szufladzie i wymaga odświeżenia. Wszystko wskazywało na to, iż z dzisiejszych planów pozostał mu tylko popołudniowy mecz, a i to pod warunkiem, że murawa nie będzie zbyt mokra.

Okazało się, że słońce zrobiło swoje i trawa wyschła. Na błoniach trwały gorączkowe przygotowania do meczu, a pod namiotem kończono rozstawianie poczęstunku. Zapełniały się z wolna miejsca siedzące wokół boiska.

Nie byłoby go tu dzisiaj, gdyby nie Henrietta, pomyślał. Wprawdzie nie namawiała go do wzięcia udziału w grze, nie wiedziała nawet o planowanym meczu, ale samo jej istnienie sprawiało, że nabrał

ochoty na podjęcie dawno zarzuconych zajęć i rozrywek. Tym większa szkoda, że jej tu dziś nie będzie. Kiedy jednak po chwili rozejrzał się wokół siebie, omal nie zaczął przecierać oczu. Sądził, że śni. Ujrzał przed sobą Henriettę we własnej osobie. Obok niej stała Mollie.

- Widzę, że nastąpiło cudowne ozdrowienie - powiedział, podchodząc do nich z rozradowaną twarzą.

- Jak widzisz - odparła równie uradowana Henrietta.

- To wspaniale. Nie będziesz się nudzić?

- Nie ma mowy. Jak mogłabym się nudzić? To dla mnie fascynujące patrzeć, jak włączasz się na nowo w życie swojej społeczności.

Matthew wyciągnął rękę i pogłaskał ją czule po policzku.

- To wyłącznie twoja zasługa - szepnął wzruszony. Wszystkie wcześniejsze obawy i niepokoje w jednej chwili wywietrzały mu z głowy. Ktoś zawołał go po imieniu. - Muszę lecieć, do zobaczenia po meczu.

Kiedy szedł przez murawę, ten sam głos zawołał: „Brawo, panie doktorze!”, a zaraz potem rozległy się oklaski. Ludzie nie przestawali klaskać, dopóki nie ogłoszono rozpoczęcia meczu.

Henriette z radości łzy napływały do oczu. Zmarła Joanna byłaby szczęśliwa, gdyby mogła go teraz zobaczyć, pomyślała.

Podeszła Kate.

- No proszę, jednak jesteście. Już wyzdrowiałaś? - zapytała, pochylając się nad Mollie.

- Tak, czuję się zupełnie dobrze - grzecznie od-

rzekła dziewczynka. - Czy mogłabym ci pomagać, kiedy ciocia Henny będzie oglądać mecz? - spytała.

- Oczywiście, kochanie. - Kate wzięła ją za rękę i poszły razem do namiotu.

Henrietta obserwowała mecz w nastroju niezwykłego uspokojenia, połączonego z niemym zachwytem. Odświeżona deszczem murawa błyszczała zielenią, od której odbijały białe stroje zawodników. Na przeciwległym brzegu rzeki rysowały się stare domostwa z jasnego piaskowca, a za nimi wznosiły się porośnięte ciemnym lasem stoki wzgórz. Była to czysta kwintesencja wszystkiego, co najpiękniejsze w angielskim pejzażu. Przeznaczenie nie bez powodu przywiodło ją w to miejsce. A gdy Matthew, przebiegając niedaleko, przesłał jej promienny uśmiech, nie miała już wątpliwości, że ona i on są sobie przeznaczeni.

Mecz zakończył się przed szóstą, więc do powrotu Keirana zostało jeszcze sporo czasu. Czekając na Matthew, aby się z nim pożegnać, Henrietta wdała się z Kate w pogawędkę.

- Szkoda, że nic nie wyszło z waszych dzisiejszych planów - zaczęła pocziwa gospodyni. - Jeśli chcesz, któregoś dnia posiedzę dłużej z dziećmi, żebyście mogli wybrać się dokądś na kolację. Mam mu to zaproponować?

- Komu, mnie? Co takiego chcesz mi zaproponować? - rozległ się za nimi głos Matthew, zanim Henrietta zdążyła otworzyć usta.

- Chętnie któregoś wieczoru zostanę dłużej przy dzieciach, a ty zaprosisz Henriettę na kolację - wyjaśniła Kate.

- Znakomity pomysł. A co ona na to?
- Nie wiem, sam zapytaj.
- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekła Henrietta z uśmiechem. - To byłoby moje pierwsze wyjście od przyjazdu.

- No to jesteśmy umówieni. Wyznacz tylko dzień, a ja zajmę się resztą. Ale, ale, nic nie powiedziałaś, jak ci się podobał mecz.

- Nie nudziłam się ani przez chwilę.

Zbliżył się do nich Alan Lorimer.

- Cześć, Matthew, już prawie wróciłeś do ludzi - powiedział. - Musisz jeszcze tylko odkurzyć puzon.

- No, niezupełnie. Mam jeszcze coś do odnalezienia poza puzonem - padła enigmatyczna odpowiedź.

- Ciociu, było wspaniale - oświadczył Keiran, kiedy Henrietta odebrała go z przystanku. - Byliśmy na plaży, budowaliśmy zamki z piasku, były jazdy na osiołkach i nie wiem co jeszcze.

Mollie siedziała na tylnym siedzeniu, toteż Henrietta zniżyła głos do szeptu.

- Nie opowiadaj, jak się dobrze bawiłeś, bo Mollie będzie przykro - ostrzegła chłopca. - Masz dla niej prezent?

- Uhm. Przywiozłem jej dwa marcepanowe liziki.

Kiedy po przyjeździe do domu Keiran wręczył Mollie słodycze, dziewczynka bardzo się ucieszyła.

- Ciociu, czy mogę od razu spróbować? - spytała.

- Możesz, ale tylko mały kawałeczek. Pamiętaj, że rano miałaś mdłości.

Dzieci poszły w końcu spać. Henrietta najpierw położyła do łóżka Mollie, która po krótkiej chwili spokojnie zasnęła, po czym dopilnowała wieczornej toalety Keirana i ucałowała go na dobranoc.

Wróciwszy do salonu, usiadła na kanapie, rozkoszując się panującą w domu ciszą. Po paru minutach opadły jej powieki. Kiedy ponownie otworzyła oczy, zapadał zmierzch, a stojący obok kanapy telefon głośno dzwonił.

- To ja - usłyszała w słuchawce głos Matthew.
- Co się dzieje? Dlaczego tak długo nie odbierałaś?

- Nic się nie dzieje, po prostu przysnęłam. Mollie już dobrze się czuje, a Keiran po wycieczce momentalnie zasnął. Mieli w Blackpool znacznie lepszą pogodę niż my. Miło, że dzwonisz.

- Miło? Po co te uprzejmości? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele powinni się nawzajem wspierać. A poza tym trzeba pomagać każdemu, kto tego potrzebuje, zrozumiano? - Henrietta rozumiała aż za dobrze, co nie znaczy, by była zachwycona tym, że zaliczył ją do ogólnej kategorii osób potrzebujących pomocy. - W razie czego znasz numer mojej komórki - ciągnął Matthew. - Muszę kończyć, bo jadę teraz do Daniela pograć w szachy. Do usłyszenia.

- Dziękuję, że zadzwoniłeś. I pozdrów ode mnie Daniela. Cześć.

W poniedziałek rano Matthew powitał ją w przychodni słowami:

- Jak miewa się Mollie?
- Dobrze. Wysłałam ją do szkoły.

Uspokoiwszy się co do stanu Mollie, zapytał:

- Dokąd chciałabyś się wybrać, kiedy będziesz miała wolny wieczór?

- Wszystko mi jedno. - Sam fakt wyjścia z nim będzie przyjemnością.

- Co byś powiedziała na pójście do teatru, a po teatrze kolację w restauracji?

- Teatr byłby wspaniały, ale gdybyśmy po przedstawieniu poszli na kolację, Kate musiałaby zostać z dziećmi do późna w nocy. Nie chcę wykorzystywać jej dobroci. Może po prostu zjemy kolację Pod Gęsią? Chyba że jest czynna tylko w soboty.

- Chyba nie tylko. Ale skoro tak, to wybierzmy się tam w sobotę.

- Też dobrze - zgodziła się Henrietta. - Ale nie myśl, że musisz mi wynagrodzić minioną sobotę. W sumie nie było tak źle. Mollie szybko wyzdrowiała, wyszło słońce, no i odbył się mecz. Nie masz pojęcia, jaki piękny widok przedstawiali zawodnicy w bieli poruszający się po zielonej trawie.

- Naprawdę ci się podobało? - ucieszył się.

- Wszystko mi się tutaj podoba. - Zwłaszcza ty, dodała w myślach.

- W takim razie umowa stoi. W sobotę Pod Gęsią. Uprzedzę, że nie będę sam. Oby tylko na twój widok nie zaczęli klaskać. Zacząłem tam bywać dopiero po śmierci Joanny.

- Mieszkańcy wioski darzą cię sympatią. Powitanie, jakie ci zgotowali przed meczem, było naprawdę wzruszające.

Matthew uśmiechnął się smętnie.

- Wielu zapewne jest zdania, że powinienem był

wcześniej wrócić do normalnego życia. Tak czy inaczej doceniam ich życzliwość. Podczas meczu spotkałem dawnych przyjaciół, z którymi od czasu żałoby praktycznie nie utrzymywałem stosunków.

W tym momencie do gabinetu wpadła recepcjonistka, wzywając ich do poczekalni, gdzie na podłodze leżała nieprzytomna kobieta w średnim wieku. Jej wargi były sine, czoło pokrywały krople potu.

- Wygląda to na zawał - mruknął Matthew, klęcząc nad chorą. - Dzwon po ambulans - rzucił w stronę recepcjonistki. -1 nie wpuszczaj tu nikogo.

- Jest dopiero ósma, w przychodni nie ma ani jednego pacjenta - zauważyła recepcjonistka.

- Ale za chwilę zaczną przychodzić. Do przyjazdu karetki wpuszczajcie ich bocznymi drzwiami. A teraz powiedz, jak do tego doszło.

Henrietta zdążyła tymczasem rozpiąć bluzkę chorej, po czym Matthew zmierzył kobiecie puls i zaczął osłuchiwać serce.

- Nazywa się Valerie Seddon. Mieszka w wiosce od niedawna. Przyszła zapisać się na wizytę i nagle, w trakcie rozmowy, chwyciła się za serce i osunęła na podłogę.

- Wyczuwam oddech, ale jest bardzo płytki - rzekł Matthew. - Jeśli pogotowie zaraz nie przyjedzie, będzie niedobrze.

- Skarżyła się na bóle w klatce piersiowej - poinformowała recepcjonistka.

Usłyszeli warkot podjeżdżającego samochodu, a po paru sekundach do recepcji wbiegł lekarz z przygotowanym aparatem tlenowym w ręce.

- Puls jest? - zapytał, pochylając się nad chorą.

- Bardzo słaby, ale jest - odparł Matthew.
- Dobrze. - Szybko podłączył pacjentkę do tlenu. - Ambulans już jedzie.

- Czy znamy adres pani Seddon? - zapytał Matthew, zwracając się do recepcjonistki, która w odpowiedzi skinęła głową i szybko zapisała na kartce adres pacjentki.

- Miała szczęście. Pomijając poczekalnię szpitala, trudno o lepsze miejsce na to, by dostać zawału - zauważył lekarz ratownik w chwili, gdy z ulicy dobiegł ich dźwięk podjeżdżającej na sygnale karetki.

- Ładny początek tygodnia - westchnęła Henrietta, kiedy ambulans odjechał, aby zawieźć panią Seddon do szpitala. - Ktoś pewnie czeka na nią w domu i będzie się niepokoił. Czy mam powiedzieć recepcjonistce, żeby zawiadomiła rodzinę?

- Nie, sam to zrobię - odparł Matthew. - Rodzina będzie spokojniejsza, jeśli ja im wytłumaczę, dlaczego musiała być zabrana do szpitala. - Zajrzał do poczekalni, która stopniowo się zapełniała. - Trzeba zacząć normalny dyżur. Idź do gabinetu, a ja zadzwonię i zaraz do ciebie zajrzę.

W domu pani Seddon telefon odebrał jej mąż. W pierwszej chwili bardzo się zdenerwował, lecz wyjaśnienia Matthew trochę go uspokoiły.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny za szybkie poinformowanie mnie o tym, co się stało. Zaraz jadę do szpitala. Jeszcze raz dziękuję.

- Mielicie już podobne przypadki? Chodzi mi o konieczność odesłania pacjenta do szpitala - zapy-

tała Henrietta, kiedy ona i Matthew pożywiali się kanapkami po dyżurze.

- Więcej, niż przypuszczasz. Raz musieliśmy wzywać pogotowie do pacjenta, który dostał ze zdenerwowania nerwicy lękowej, a bywali i tacy, którzy za długo zwlekali z wizytą u lekarza i trzeba ich było odsyłać wprost do szpitala.

- Biedna kobieta. Miejmy nadzieję, że pomoc nie przyszła za późno - ponownie westchnęła Henrietta.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tym razem nic nie może im przeszkodzić, obiecywał sobie Matthew, myśląc o sobotnim spotkaniu. Mówiąc Alanowi po meczu, że musi odnaleźć coś ważniejszego niż od dawna nieużywany puzon, zerknął na Henriettę, chcąc zobaczyć, jak ona na to zareaguje, lecz spotkał go zawód. Jej twarz nawet nie drgnęła.

Powrót do krykieta, podobnie jak generalny remont domu, nabrałyby istotnego znaczenia, gdyby był pewien uczuć Henrietty. Co prawda i bez tego byłby jej wdzięczny za przywrócenie mu chęci do życia.

Jednakże na razie, to znaczy do najbliższej soboty, musi swoje osobiste sprawy odłożyć na bok i zająć się przede wszystkim pacjentami. Valerie Seddon czuła się już lepiej, choć nadal pozostawała w szpitalu na kardiologii, zaś Dave Lorimer wrócił do domu z ogoloną głową, ale i nadzieją na przyszłe wyzdrowienie. Były to dwie dobre wiadomości.

Inne przypadki nie rokowały jednak równie optymistycznych rezultatów. U pewnej starszej pani uskarżającej się na złe samopoczucie badanie krwi wykazało poważny niedobór żelaza. Pacjentka ucieszyła się, sądząc, iż seria tabletek załatwi sprawę, lecz jej radość zmieniła się w przerażenie, gdy usłyszała, że musi się poddać dodatkowym badaniom, ponieważ ubytek żelaza może być objawem nowotworu.

Był też groźny przypadek Coralie Stephens, żony farmera, która niedawno niespodziewanie straciła słuch i poczuła się tak niedobrze, iż nie była w stanie wstać z łóżka. Mąż wezwał doktora Cazaleta, a ten skierował pacjentkę do szpitala. Niestety, szpital ociągał się z wezwaniem jej na badania, kobieta doznała w domu ataku i mąż wezwał pogotowie.

W szpitalu wykluczono zawał jako przyczynę nagłego paraliżu, zaś dalsze badania ujawniły obecność płynu w uszach. Lekarze w pierwszej chwili nie umieli wyjaśnić przyczyn tego stanu, dopóki jeden z nich nie wpadł na pomysł, że Coralie może cierpieć na rzadko spotykaną chorobę o nazwie ziarnica Wegnera. Henrietta, której Matthew natychmiast przekazał wiadomość, musiała przyznać, iż nie słyszała o czymś takim.

- Polega ona na tworzeniu się zwyrodniałych komórek w przewodzie nosowym, płucach i nerkach chorego, co może powodować rozmaite objawy, takie jak zapalenie oczu, nowotwory skóry, niewydolność serca i nerek - wyjaśnił Matthew. - Jest to na szczęście choroba uleczalna, chociaż kuracja może trwać niekiedy wiele miesięcy.

- Miałeś wiadomość ze szpitala? - zapytała Henrietta.

- Nie, czekam dopiero na uzasadnienie diagnozy. Powiedzieli mężowi, a on do mnie zadzwonił.

- Wie, jak będą ją leczyć?

- Tak. Leczenie polega na podawaniu sterydów i chemioterapii, czyli podobnie jak w przypadku nowotworów.

- Biedna kobieta.

- Mnie też jej żal - przyznał. - Stephensowie to bardzo mili i przyzwoici ludzie. Mają przed sobą ciężki okres.

Nadeszła wreszcie długo oczekiwana sobota. Przebierając się późnym popołudniem, Henrietta nadal nie mogła uwierzyć w realność tak już bliskiego spotkania. Bo wprawdzie widywała Matthew zarówno w pracy, jak i podczas malowania domu, to jednak dziś po raz pierwszy mieli się spotkać na zupełnie innej zasadzie - prywatnie i tylko we dwoje.

Zadała sobie pytanie, czy Matthew traktuje dzisiejszą kolację jak prawdziwą randkę. No cóż, to też wkrótce się okaże.

Kiedy godzinę później zadzwonił dzwonek do drzwi, Henrietta powitała przybyłych, mając z jednej strony Móllie w nocnej koszulce, a z drugiej ubranego w pidżamę Keirana. Matthew uśmiechnął się na ich widok, a Kate z zadowoleniem pokiwała głową.

Henrietta włożyła na siebie swój ulubiony wieczorowy strój: długą do kostek jedwabną kremową sukienkę bez rękawów i również jedwabny obcisły zielony żakiet. Włosy upięła wysoko, tak jak owego wieczoru, kiedy Matthew ją pocałował.

W restauracji panował tłok i gwar, lecz Matthew, który był tu stałym gościem, został natychmiast dostrzeżony i wraz ze swą towarzyszką odprowadzony do zarezerwowanego stolika.

Rozglądając się wokół siebie, Henrietta pomyślała o jego dawnych samotnych wypadach do restauracji

i o jego ponurym domu. Dziś wiele się zmieniło: jego dom nie jest już tak ponury, a on po raz pierwszy nie będzie jadł kolacji w samotności. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Widzę, że ci się tutaj podoba - zauważył Matthew.

- Bardzo. Ale uśmiechnęłam się z innego powodu - przyznała. - Myślałam o tym, jak pięknie będzie wkrótce wyglądał twój dom.

- Skąd ci to przyszło na myśl?

- Bo zdałam sobie sprawę, jak radykalnie zmieniło się w ostatnich czasach życie nas obojga. Ja mieszkałam w wielkim mieście, w hałasie i pośpiechu, nie wiedząc nigdy, co przyniesie następny dzień, a ty żyłeś wyłącznie sprawami przychodni i pacjentów, nie mając nikogo bliskiego prócz Kate. Dobrze, że przynajmniej raz w tygodniu wychodziłeś w soboty ze swojej skorupy, aby zjeść kolację wśród ludzi.

- A jak ty spędzałaś w Manchesterze soboty?

- Nie były to upojne wieczory. Możesz być pewien.

- Więc nie żałujesz, że się przeniosłaś na wieś?

- Ani trochę - odparła z głębokim przekonaniem.

- Zresztą od dawna marzyło mi się życie na wsi. Nawet to, jak mnie przyjąłeś pierwszego dnia, nie mogło mnie zniechęcić - dodała z przekornym uśmiechem. - A nasze pierwsze wspólne wizyty, u pani Carradine w Goyt Lodge, i u córki weterynarza, sprawiły, że zaczęłam zapuszczać tu korzenie.

- Pamiętam, że od razu wyczułaś napięcie między mną a Rogerem. Nie mam pretensji do Rogera o to, co się stało, a dziś potrafię już przyznać, że jego syn

nie chciał zrobić nic złego, niemniej spróbuj sobie wyobrazić, co czułem, kiedy zobaczyłem martwe ciało leżące pod urwiskiem. O tym nie sposób zapomnieć. Joanna wybrała się z grupą uczniów na wycieczkę. Syn Martina wyprawiał harce nad urwiskiem, a zobaczywszy zbliżającą się Joannę, udał, że zsuwa się w przepaść. Jednak przeszarżował, stracił równowagę i byłby spadł, ale zatrzymał się na rosnących poniżej krzewach. Moja żona podbiegła na ratunek. Chwyliła go za rękę i zaczęła ciągnąć. Jednakże chłopak był tak przerażony, że nie bardzo wiedział, co robi, i kiedy był już prawie na szczycie, szarpnął ciałem z takim rozmachem, że Joanna straciła grunt pod nogami i runęła w dół. Natychmiast zadzwoniono do mnie i wezwano pogotowie, ale na ratunek było już za późno. Gdybym go wtedy dopadł, chyba udusiłbym gówniarza własnymi rękami. Na jego szczęście zastał wcześniej odwieziony do szpitala w stanie szoku.

Henrietta położyła rękę na jego dłoni.

- Nikt nie zasługuje na to, by przeżyć podobną tragedię - powiedziała najczulej, jak umiała. - Ale chyba już się otrząsnąłeś z nieszczęścia, prawda? Zacząłeś wracać do życia. I cokolwiek postanowisz z nim zrobić, z całego serca życzę ci szczęścia.

Matthew czuł, iż jest to zachęta do szczerzej rozmowy, lecz przeważyła ostrożność. Bał się, że czuły gest był jedynie wyrazem przyjaźni i jeśli wyzna jej miłość, Henrietta gwałtownie cofnie rękę.

W sali restauracyjnej znajdował się parkiet do tańca.

- Masz ochotę zatańczyć? - zapytał Matthew, kiedy skończyli jeść kolację.

- Uwielbiam tańczyć. Ale uprzedzam, że nie jestem w tym mistrzynią.

- To tak samo jak ja. Przekonajmy się, czego razem potrafimy dokonać - rzekł z uśmiechem, wstając od stolika. Kiedy wziął ją w ramiona i zaczęli powoli krążyć wokół parkietu, Henrietta przymknęła oczy. - Nie użyłaś dzisiaj swoich perfum - zauważył po chwili.

- Nie. One należą już do przeszłości. - Zawahała się, ale jednak zdecydowała się dodać: - Podobnie jak twoja żona.

Matthew gwałtownie się wyprostował.

- Wiem o tym, i tylko dlatego ci opowiedziałem, w jaki sposób zginęła. Czy tego nie rozumiesz? Uznałem, że masz prawo o tym wiedzieć. Nie przypuszczałem, że nadal mnie posądzasz o nurzanie się w przeszłości - powiedział, biorąc ją za łokieć i prowadząc do stolika.

Henrietta pożałowała swoich słów. Po co to mówiła? Przecież mogła przewidzieć, iż sugestia, że Matthew nadal żyje wspomnieniem tragicznie zmarłej żony musi go rozgniewać, a przynajmniej dotknąć.

Kiedy odwoził ją do domu, w samochodzie panowało trudne do zniesienia milczenie. Matthew był zły i zirytowany, a Henrietta smutna i przygnębiona.

Potem przez całą niedzielę zastanawiała się, co ją podkuśiło, aby podać w wątpliwość jego gotowość powrotu do świata. Przecież pół godziny wcześniej rozwodziła się nad tym, że Matthew wreszcie otrząsnął się z nieszczęścia. Najwyższy czas, żeby się zdecydowała, co o nim myśli.

Matthew do końca dnia nie pojawił się ani nie zadzwonił. Henrietta kilkakrotnie podnosiła słuchawkę, ale szybko ją odkładała. Udręczona tym wszystkim, w poniedziałek rano z bijącym sercem jechała do przychodni.

Zastała Matthew przy telefonie, zajętego rozmową z kierownikiem administracyjnym. Wreszcie odłożył słuchawkę, mocno zafrasowany.

.- Dzwonił Douglas - oznajmił. - Zapowiedział, że przyjedzie w porze lunchu przedstawić kosztorys remontu. Jest mi to nie na rękę, bo chciałem w czasie przerwy pojechać do szpitala, podtrzymać Daniela na duchu podczas pierwszej rehabilitacji, ale w tej sytuacji będę musiał odłożyć wizytę u niego do wieczora.

- Mogę sama załatwić sprawę z Douglasem - zaproponowała. - Jak wiesz, remonty to moja specjalność. A skoro już o tym mowa, to twoje zasłony i dywany chyba niedługo będą gotowe.

- Owszem, lada dzień - odparł obojętnym tonem i pochylił się nad kartami zapisanych na wizyty pacjentów.

Zachowuje się wobec mnie, delikatnie mówiąc, nadzwyczaj chłodno, myślała Henrietta, idąc do swego gabinetu. A tak pragnęła, żeby się do niej uśmiechnął, pocałował, okazał czułość! No cóż, przynajmniej na razie musi jej wystarczyć wspólna praca i możliwość widywania go w ciągu dnia.

Jeszcze przed popołudniem zadzwoniła do Henrietty kierowniczka szkoły, do której chodziły dzieci. Wyraziwszy zaniepokojenie chorobą dziewczynki, przyznała, że w czasie weekendu kilkoro innych

dzieci miało podobne objawy, co budzi podejrzenie, iż przyczyną zatrucia była farba o silnym zapachu użyta przez malarzy, którzy wykańczali w piątek świeżo dobudowany aneks.

- Zapach był tak silny i nieprzyjemny, że kazałam przerwać malowanie - ciągnęła kierowniczką. - Niestety, opary rozeszły się wcześniej po całej szkole i w rezultacie kilkoro dzieci doznało, jak się zdaje, lekkiego zatrucia. Normalnie tego rodzaju prace wykonujemy podczas wakacji, kiedy szkoła jest pusta, lecz tym razem zależało nam na szybkim wykończeniu nowej sali widowiskowej, ponieważ uczniowie przygotowują przedstawienie dla rodziców i znajomych na zakończenie roku. Słyszałam, że pani doktor opiekuje się siostrzeńcami podczas nieobecności ich rodziców, więc chciałabym przy okazji zaprosić panią na tę uroczystość.

- Przyjadę, jeśli nic mnie nie zatrzyma - obiecała Henrietta. - Niemniej niepokoi mnie lekkomyślność malarzy. Jak można w szkole, gdzie uczą się małe dzieci, używać niesprawdzonych substancji? Mollie na szczęście czuje się już lepiej, podobnie jak chyba pozostałe dzieci, ale mogło się to skończyć o wiele gorzej.

- Wiem, doskonale rozumiem pani oburzenie i przyrzekam, że nic podobnego się nie powtórzy - zapewniła ją mocno speszona kierowniczką.

Kiedy Henrietta odłożyła słuchawkę, Matthew, który wszedł do jej gabinetu w połowie rozmowy, zauważył:

- Czy dobrze zrozumiałem, że Mollie zatrula się oparami farby?

- Chyba tak. Nie sądzisz, że należałoby zbadać dzieci, które miały podobne sensacje? Może przeświecić im płuca?

- Oczywiście. W takich sprawach nigdy dosyć ostrożności. Na twoim miejscu zadzwoniłbym jeszcze raz do kierowniczkii szkoły. Niech poradzi rodzicom podtrutyh dzieci, żeby zawieźli swoje pociechy na badanie.

- Masz rację. Jeszcze dziś pojedę z Mollie do szpitala.

- Mogę wam towarzyszyć.

- Naprawdę? Myślałam, że jesteś na mnie obrażony.

- Nie rób z igły wideł. A poza tym, jak powiedziałem, że chcę z wami pojechać, to znaczy, że pojedę. Możemy to zrobić bezpośrednio po odebraniu dzieci z autobusu. Szkoda, że kierowniczka wcześniej nie dała znać, bo można było już wczoraj zbadać Mollie.

- Nie mogła tego zrobić, bo był weekend i sama dowiedziała się o chorobie dzieci dopiero dziś rano. Aha, byłabym zapomniała, przy okazji zostałam zaproszona na szkolne przedstawienie na zakończenie roku.

- - Kiedy to ma być?

- Za tydzień, trzydziestego pierwszego lipca.

- To będzie dla ciebie frajda, no nie?

- Niby tak... - Zawahała się. - Niemniej wołałabym, żeby dzieciom towarzyszyli rodzice, a nie ciotka.

- Moim zdaniem w ogóle nie powinni zostawiać ich samych. A co by zrobili Pamela i Charles, gdybyś ty z jakiegoś powodu nie mogła ich zastąpić?

- Pewnie musieliby oddać dzieci do internatu.

Matthew tylko się skrzywił. Pewnie sobie pomys-

lal, że rodzice Mollie i Keirana nie umieją docenić szczęścia, jakim jest posiadanie dzieci. Szczęścia, które go on nie zaznał. Henrietta czuła się w obowiązku stanąć w obronie siostry.

- Jesteś niesprawiedliwy. To, że Pamela i Charles mają inną koncepcję wychowywania dzieci niż ty, wcale nie znaczy, że ich nie kochają. A w ogóle to wrócą wcześniej, niż planowali. A ja stanę się niepotrzebna wcześniej, niż sądziłam.

- Mnie nadal będziesz potrzebna.

- Owszem, do powrotu Johna Lomasa. A potem chyba będę musiała wrócić do miejskiego życia.

- Jak to, myślałem, że polubiłaś wieś?

- I to bardzo - przyznała z westchnieniem. - Niestety, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

- To prawda - odparł ponuro.

Keirań czuł się w szpitalnej izbie przyjęć jak ryba w wodzie. Po pierwsze, ponieważ był zdrowy, a po drugie, był zafascynowany szpitalną atmosferą i medycznymi urządzeniami.

Matthew siedział milcząco, zgaszony ich ostatnią rozmową, Mollie pochlipywała i najczulsze zapewnienia ciotki, że nie będzie bolało, nie mogły jej uspokoić, natomiast Henrietta myślała z przerażeniem, co powie Pameli, jeśli się okaże, że Mollie poniosła trwałe uszczerbek na zdrowiu.

- Cześć, Matthew, co tu robisz? Przyjechałeś z rodziną? - zdziwił się dyżurny lekarz, który właśnie do nich podszedł.

- Nie, to dzieci znajomych - sprostował Matthew, a zwracając się do Henrietty, dodał: - Jason i ja byliś-

my razem na studiach. Jason, to jest doktor Mason, która pracuje w mojej przychodni, a w tej chwili występuje w roli zastępczej matki.

Henrietta jęknęła w duchu. Dlaczego wszyscy biorą ich za parę, i to teraz, kiedy ich drogi się rozchodzą? Co za ironia! Oto spotkała mężczyznę godnego miłości i szacunku i byłaby gotowa o niego walczyć, ale przecież nie z duchem zmarłej!

W tej chwili Mollie wezwano na prześwietlenie, a gdy okazało się, że jej płuca są czyste, humory natychmiast wszystkim się poprawiły. Matthew wziął dziewczynkę na ręce i zaniósł do samochodu.

- Zapraszam do nas na kolację - uprzejmym tonem oświadczyła Henrietta, kiedy zajechali przed Biały Dom. - Kate zawsze zostawia mnóstwo jedzenia.

- Dziękuję, ale umówiłem się z Kate, że zjemy razem u mnie - odparł chłodno.

Henrietta skinęła głową, po czym pod wpływem nagłego impulsu zarzuciła mu rękę na ramiona.

- Dziękuję, że i tym razem byłeś z nami w trudnej chwili - powiedziała czule. Patrząc mu w oczy, w których malowało się zdziwienie, delikatnie pocałowała go w usta.

- To miłe, ale wolałbym, żebyś się zdecydowała, czego naprawdę chcesz - rzekł, cofając się. - No to dobranoc. I nie zapomnijcie włączyć alarmu.

Kiedy godzinę później mocno zawiedziona Henrietta kładła dzieci do snu, Keiran niespodziewanie stwierdził:

- Teraz musisz się ożenić z wujkiem Matthew.
- Dlaczego tak uważasz?
- Przecież widzieliśmy, jak go pocałowałaś.

- Lepiej już śpij - zarządziła skonsternowana. -
A w ogóle, to przyjaciele też mogą się całować -
dodała.

Schodząc na dół, zastanawiała się, co ma robić. Skoro pocałunek, którym chciała wyrazić swoje uczucia, nie odniósł zamierzonego skutku, to chyba najwyższa pora zastosować radykalniejsze środki. Właśnie rozmyślała nad tym, by pójść do fryzjera i zacząć się ubierać bardziej po kobiecemu, kiedy od strony kuchni dobiegł ją obcy głos:

- Czy ktoś jest w domu?

Poderwała się na równe nogi i pobiegła w kierunku kuchennych drzwi, których nie zdażyła zamknąć na klucz. Na progu stał zarośnięty mężczyzna o podejrzanym wyglądzie.

- Kim pan jest? - zapytała z udanym spokojem.

- Jestem Mark McIvor - odrzekł obdartus. - Chodzę po wioskach, śpiam byle gdzie, a zajrzałem, bo paniusia tego domu zawsze daje mi jedzenie. A doktor z wioski też zawsze mnie bada.

- Mówi pan o doktorze Cazalecie? - upewniła się Henrietta, trochę uspokojona.

- Ano.

- Co moja siostra zwykle panu daje?

- Mleko, chleb, wędlinę, jakieś resztki z kolacji. A co, nie ma jej w domu?

Henrietta nie była tak naiwna, by się przyznać, że jest sama.

- Pojechali oboje na chwilę do wioski i zaraz wrócić - odparła. - Zobaczę, co mogę panu dać. - To powiedziawszy, pospiesznie napełniła plastikową torbę resztkami jedzenia.

- Uprzejmie dziękuję - powiedział obdartus, uchyłając wystrzępionego kapelusza. - Mogę się przespać pod żywopłotem na końcu ogrodu? Obiecuję, że nie naśmiecę.

- Proszę, czemu nie - zgodziła się z wahaniem, a gdy mężczyzna się oddalił, szybko przekręciła klucz w zamku i pobiegła do telefonu, by zadzwonić do Matthew.

- To ja. Jakiś obdarty człowiek przyszedł od kuchni...

- Mam nadzieję, że drzwi były zamknięte - wtrącił Matthew.

- Niestety nie.

- Czyś ty oszalała? Już prawie noc. Gdzie on jest?

- Poszedł się przespać pod żywopłotem na końcu ogrodu. Mówił, że kiedy przechodzi przez wioskę, Pamela daje mu jedzenie. Był dosyć przekonujący, chciałam się tylko upewnić, czy nie jest niebezpieczny.

- Jak możesz być tak lekkomyślna!

- On powiedział...

- Nie obchodzi mnie, co ci naopowiadał. Zaraz przyjadę - przerwał jej Matthew i rzucił słuchawkę.

Wcale nie zamierzała go wzywać. Chciała się tylko upewnić, czy zna Marka McIvora. Niestety, Matthew nie dał jej dojść do słowa. A w ogóle, dlaczego się tak na nią wściekał? Czy to takie przestępstwo zapomnieć zamknąć drzwi na klucz?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jechał do Białego Domu zły i rozstrojony. Jak to się stało, że zakochał się w Henriecie? Dlaczego opuścił gardę, odsłonił się i wydał na pastwę szarpących serce uczuć?

Nieustannie o niej myślał, pragnął być stale w jej pobliżu, trzymać ją w ramionach. Na nowo owładnięty nim uczucia, którym od śmierci Joanny bronił do siebie dostępu.

Czuł, jak ta nowa namiętność zmienia go w marionetkę, której sznurki pociąga jakaś niewidzialna ręka. Przed pojawieniem się Henrietty jego życie pewnie nie było wiele warte, ale przynajmniej zapewniało mu spokojny sen.

Już z końca ulicy zobaczył jarzące się światłami okna Białego Domu. Niespokojny o los Henrietty i dzieci, mocniej nadepnął na pedał gazu.

- Gdzie jest ten człowiek? - zapytał, gdy Henrietta mu otworzyła.

- Widziałam blask ogniska na skraju trawnika. Pewnie podgrzewa sobie jedzenie, które mu dałam. Miał ze sobą patelnię.

- Zaraz to sprawdzimy. Nie chcę, żeby jacyś nieznajomi kręcili się po nocy koło waszego domu - oświadczył.

- Mówił, że go znasz.

- Ja?
- Tak. Powiedział, że nazywa się Mark McIvor.
- Ach, więc to stary McIvor! - zawołał Matthew, przystając. - Zwykle o tej porze pojawia się w naszych stronach. Niepotrzebnie się denerwowałem. Trzeba mi było od razu powiedzieć, że to on.
- Chciałam, ale odłożyłeś słuchawkę. Potraktowałeś mnie jak idiotkę, która nie potrafi sobie sama poradzić.
- Nie przesadzaj, dobrze wiesz, że tak nie myślę - odparł, pozwalając sobie na ostrożny uśmiech. - Ale skoro nie chciałaś, żebym przyjechał, to po co dzwoniłaś?
- Bo nie byłam pewna, czy mówi prawdę. A w pierwszej chwili rzeczywiście trochę się przestraszyłam. Głównie zresztą chodziło mi o bezpieczeństwo dzieci. W Manchesterze zdarzały mi się o wiele groźniejsze spotkania.
- Skoro tak, to nie będę ci dłużej przeszkadzał. Mark McIvor jest poczciwym, zupełnie nieszkodliwym człowiekiem. Gdybym wiedział, że przychodził wcześniej do tego domu po jedzenie, byłbym cię uprzedził. Ale chylę czoła przed Pamelą. Nigdy bym nie przypuszczał, że pomaga bezdomnym.
- Cieszę się, że choć jedna z nas zasługuje w twoich oczach na uznanie - mruknęła z sarkazmem Henrietta.
- Jeśli dobrze rozumiem, nie chcesz, żebym się zajmował twoim losem, czy tak? - zapytał, pomijając jej zaczepkę milczeniem.
- Oczywiście, że chciała. Chciała, by oboje do końca życia zajmowali się nawzajem swoim losem. Chciała być jego żoną i matką jego dzieci. Tylko czy

on podziela jej uczucia? Najwidoczniej nie. Widzi ją najwyżej w roli przyjaciela i współpracownika.

- Zaraz sobie pojedę - podjął Matthew po chwili milczenia. - Ale najpierw pójde do Marka i umówię się, żeby do mnie przyszedł wziąć kapiel i dał się zbadać.

Po tych słowach oddalił się w głąb ogrodu, zostawiając Henriettę z jej smutnymi myślami. Prawdę mówiąc, czuła się zdruzgotana. Dlaczego była wobec niego taka opryskliwa? Owszem, zachował się trochę porywczco, ale od razu przyjechał, bo niepokoił się o jej bezpieczeństwo. Powinna mu była okazać wdzięczność, zamiast się odszczekiwać.

Żałuję, że w ogóle tutaj przyjechałam, myślała, zła na siebie. Miałam się tylko zająć dziećmi, a tymczasem znalazłam wymarzonego mężczyznę, i co z tego wynikło? Kiedy wydawało się, że zaczynamy się do siebie zbliżać, musiałam wszystko zepsuć jednym niefortunnym zdaniem.

Zachowałem się jak rozgrymaszony dzieciak, myślał tymczasem Matthew, wracając do domu. Albo jak nieznośny pedant. Henrietta jest dorosłą, samodzielną kobietą, która sama potrafi o siebie zadbać. A on przesadnie się o nią troszczy, ponieważ jest w niej beznadziejnie zakochany.

Przed jej pojawieniem się nie musiał się o nikogo troszczyć prócz Kate i siebie. Ale przyszła miłość, a on, jak już się angażował, to całym sobą, nie umiał niczego robić połowicznie. Owszem, nowe uczucie przywróciło go życiu, ale wcale nie był pewien, czy ma się z tego powodu cieszyć.

Nazajutrz rano Henrietta nie mogła się doczekać przyjazdu szefa, co było zastanawiające, gdyż Matthew nigdy nie spóźniał się do pracy. W miarę jak minuty mijały, a on nie pojawiał się ani nie dzwonił, zaczęła się niepokoić. Może postanowił dać jej nauzkę? No dobrze, niech się na nią gniewa, byle tylko nic mu się nie stało.

Zaczęła przyjmować pacjentów. Na szczęście po mniej więcej półgodzinie dobiegł ją z recepcji głos Matthew. Henrietta odetchnęła z ulgą. Niech będzie na nią zły, byle był cały i zdrowy.

Następną jej pacjentką była żona weterynarza. Henrietta nigdy jej nie widziała, ponieważ pani Martin wyjechała z wioski do krewnych w przeddzień pamiętnej pierwszej wizyty Henrietty i Matthew u jej chorej córki.

Pani Martin była pulchną, dobrodusznie wyglądającą kobietą. Witając się z nią, Henrietta nie mogła oprzeć się współczuciu na myśl o tym, co ta kobieta musi przeżywać, mając świadomość, że swawola jednego z jej dzieci doprowadziła do czyjejs przedwczesnej śmierci.

- Trzy dni temu spuchła mi stopa - zaczęła pani Martin. - Robiłam sobie okłady, ale opuchlizna nie schodzi, a w dodatku stopa coraz bardziej boli. Parę miesięcy temu miałam coś podobnego na ręce, dostałam antybiotyki i ręka prawie zupełnie stęchła. Niemniej jest nadal zaczerwieniona.

Stopa była nie tylko opuchnięta, ale i mocno zaczerwieniona.

- Czy chorowała pani kiedyś na zapalenie tkanki łącznej? - zapytała Henrietta.

- Tak, ale to było wiele lat temu.

- Muszę zlecić badanie krwi na obecność glukozy i kwasu moczowego, gdyż jedną z przyczyn zapalenia tkanki łącznej może być cukrzyca - wyjaśniła Henrietta. - A na razie przepiszę pani antybiotyki, który zlikwiduje stan zapalny. Po wyjściu ode mnie proszę się zgłosić do pielęgniarki, która pobierze krew. Z wynikiem proszę się do mnie zgłosić pod koniec tygodnia.

Zbierając się do wyjścia, pani Martin zapytała:

- Jak się miewa doktor Cazalet?

- W jakim sensie?

- No... czy już się otrząsnął. Zapewne mówił pani, co się stało.

- Tak, wiem - przytaknęła Henrietta. - I myślę, że mogę na pani pytanie odpowiedzieć twierdząco. Ale, żeby mieć pewność, lepiej chyba zapytać jego samego.

- Po tym, co się stało, wysłaliśmy syna za granicę - podjęła wyraźnie zgnębiona pani Martin. - Jednakże nie może siedzieć tam bez końca, no i oboje z mężem bardzo za nim tęsknimy. Chciałabym, żeby syn wrócił, a zarazem boję się tego. Nie chciałabym panu doktorowi przysparzać bólu.

- Rozumiem. Jeśli wolno mi coś radzić, to sądzę, że syn powinien wrócić i wtedy wszyscy razem spróbujecie tę sytuację rozwiązać. To na pewno dla nikogo nie będzie łatwe, ale doktor Cazalet z pewnością nie będzie chciał sprawiać państwu dodatkowych przykrości.

Kobieta pokiwała głową.

- Oby miała pani rację. Dziękuję za radę. Trzeba to w jakiś sposób przełamać i zakończyć - rzekła.

Po jej wyjściu Henrietta zamyśliła się. Pani Martin ma rację, trzeba całej sprawie położyć kres. Miejmy nadzieję, że Matthew będzie tego samego zdania. Jest przecież dobrym, życzliwym ludziom człowiekiem, który wiele wycierpiał, ale zaczyna się już wyzwalać z pęt przeszłości.

Matthew i Henrietta spotkali się dopiero w porze lunchu.

- Przepraszam, nie miałem jak dać ci znać, że się spóźnię, ale miałem od rana urwanie głowy z powodu McIvora - powiedział jak gdyby nigdy nic. - Najpierw się kąpał, potem go badałem, a na koniec musiałem po nim posprzątać.

- Pewnie nie zdążyłeś zjeść śniadania.

- No i kto teraz jest nadopiekuńczy?

- Tak, przyznaję się. I przepraszam za wczoraj. Zachowałam się niemądrze i byłam niewdzięczna. Czy w ramach przeprosin dasz się zaprosić na lunch?

- Boję się, że na wypad do restauracji nie mamy czasu, ale co byś powiedziała, żebyśmy kupili kanapki i pojechali na pół godziny w góry?

- Świetna myśl - zawołała ucieszona. - Skoczę zaraz do piekarni, a ty podjedź samochodem.

Z torbą z kanapkami w ręce wsiadła do samochodu, nie pytając, dokąd jada. Matthew wywiózł ją na szczyt wzgórza, na polanę, gdzie rosły paprocie, jagody i górskie żurawiny.

Siedząc w samochodzie, jedli w milczeniu kanapki. Pierwsza odezwała się Henrietta:

- Mam ci coś do powiedzenia.

Matthew powinien wiedzieć o powrocie syna weterynarza do wioski i lepiej, by usłyszał o tym wcześniej od niej, niż po fakcie od Kate albo od przypadkowej osoby. Być może ona nie zyska sobie tym jego przychylności, ale dla dobra sprawy była gotowa się poświęcić.

Jej towarzysz nic nie powiedział, lecz w jego twarzy dostrzegła nagle napięcie. Czyżby już wiedział?

Powie mi zaraz, że chce stąd wyjechać, myślał tymczasem Matthew. Sprzykrzyło jej się moje natręctwo. Przeprosiła mnie wprawdzie za wczoraj, ale ma mnie dosyć. Tak był zajęty snuciem ponurych myśli, że pierwsze słowa Henrietty umknęły jego uwadze. Skupił się dopiero, gdy mówiła:

- Uprzedziła, że syn wkrótce wróci.

- Kto? Czyj syn? - zapytał, spoglądając na nią niezrozumiejącym wzrokiem.

- Meriel Martin, żona weterynarza. Przyszła dziś do mnie z powodu opuchniętej stopy i przy okazji powiedziała, że bardzo tęskni za synem. Oboje z mężem chcą go sprowadzić z powrotem do domu i mają nadzieję...

- Że się z tym pogodzę - wtrącił.

- Coś w tym rodzaju.

- Bałem się, że masz gorsze wieści, na przykład, że odchodzisz z przychodni.

- Nie mam zamiaru odchodzić. Chyba że zechcesz się mnie pozbyć - wykrzyknęła impulsywnie.

- Miałaś coś takiego w twarzy...

- Bałam się, że wiadomość o jego powrocie sprawi ci przykrość. Ale uznałam, że będzie najlepiej, jeśli usłyszysz o tym od obcej osoby.

- Uważasz się za obcą osobę?
- W pewnym sensie tak. Może niezupełnie, bo mam Pamelę i dzieci, poznałam i pokochałam Kate, no i jesteś ty...

Urwała, nie kończąc zdania. Bała się, że mówiąc o nim, nie zdoła ukryć uczuć, a nie ma nic bardziej upokarzającego jak wyznawanie miłości osobie, która tej miłości nie odwzajemnia.

- No tak, znamy się, ale kim jestem dla ciebie?
- Osia, wokół której wszystko się obraca. Jesteś ważny dla tylu osób. To, jak prowadzisz przychodnię, troska, jaką okazujesz ludziom. Mając w pamięci pośpiech w mojej dawnej pracy, nie mogłam z początku uwierzyć, że taki stosunek do pacjentów jest w ogóle możliwy.

- No, początek nie był najlepszy. Byłaś nieufna i nastroszona, ale to szybko minęło, kiedy zacząłem cię lepiej poznawać. - I w końcu się zakochałem, dodał w myślach. Popatrzył na zegarek. - Musimy wracać, bo za chwilę zaczną nas szukać. A jeśli rozejdzie się wieść, że spędziliśmy tyle czasu sam na sam w lesie, twoja reputacja będzie nieodwracalnie zszargana.

Przez kilka następnych dni nie mogła się zdecydować, czy zaprosić Matthew na szkolne przedstawienie. Wiedziała, jak bardzo lubi dzieci, lecz nie była pewna, czy po ostrej wymianie zdań spowodowanej wizytą starego McIvora powinna mu się narzucać. Wprawdzie ich stosunki wróciły do normy, lecz były to relacje czysto przyjacielskie. A ona pragnęła czegoś więcej. Chciała go zdobyć na zawsze, mieć go

tylko dla siebie. A skoro tak, to wspólny wyjazd na przedstawienie może być krokiem we właściwym kierunku.

Miała też inne zmartwienie. W przyszłą środę kończył się rok szkolny, od czwartku dla Mollie i Keirana rozpoczynały się letnie wakacje, a ona wciąż nie wiedziała, jak zorganizować im wolny czas i zapewnić opiekę w ciągu dnia.

Mogła jedynie poprosić Kate, aby przychodziła do dzieci parę godzin wcześniej niż dotąd, a jednocześnie zwrócić się do Matthew z prośbą o skrócenie jej dyżurów albo nawet udzielić bezpłatnego urlopu.

Fakt, iż Pamela tej sytuacji nie przewidziała, rzucał pewien cień na jej organizatorskie talenty. W okresie długich letnich wakacji dzieci powinny spędzać czas w sposób miły i pożyteczny, nie mówiąc już o zapewnieniu im bezpieczeństwa.

Kiedy po powrocie ze szkoły dzieci wręczyły jej zaproszenie na zakończenie roku dla dwóch osób, zdecydowała się zaproponować Matthew, aby jej towarzyszył.

- Już myślałem, że się rozmyśliłaś - rzekł w odpowiedzi na jej propozycję.

- Nie byłam pewna, czy chcesz nam poświęcać aż tyle czasu.

- Po tym, jak sama poświęciłaś dwa weekendy na odnawianie mojego domu? - obruszył się.

- To była dla mnie przyjemność.

- A jak myślisz, dlaczego ja lubię być z wami?

- Tego właśnie nie wiem.

- Szkoda. No dobrze, co to za przedstawienie, i o której się zaczyna?

- Przedstawienie nosi tytuł „Wierzy na wietrze”, a dzieci występują w roli drzew. Po skończonym spektaklu pewnie nie będą w stanie poruszać rękami. Zaczyna się o siódmej, więc trzeba wyruszyć koło szóstej, bo dzieci muszą mieć pół godziny na włożenie kostiumów. Przed wyjazdem Kate zrobi nam kolację, wobec czego proponuję, żebyś zjadł ją razem z nami. Odpowiada ci?

- Czemu nie? - odparł, wyraźnie uradowany. Perspektywa wspólnego posiłku i spędzenia reszty wieczoru w towarzystwie Henrietty napełniła go radością.

- Musimy pomyśleć o zorganizowaniu dzieciom wakacji - oświadczył Henriecie, kiedy parę godzin później znowu się spotkali. - Czy zastanawiałaś się, jak pogodzić pracę z opieką nad dziećmi, kiedy przestaną jeździć do szkoły? Kate jest gotowa przychodzić wcześniej, a ja też mogę się dostosować, skracając ci godziny pracy.

- Jesteś nadzwyczajny. Zawsze myślisz o wszystkim - rzekła Henrietta, wzruszona do głębi serca.

- Nie przesadzajmy. Długo zaniedbywałem to, co w życiu najważniejsze.

- Ale czy z własnej winy? - zadała mu pytanie, kończąc nim rozmowę, ponieważ śpieszyła się do pacjentki.

Jeszcze tego samego dnia w przychodni pojawiła się pani Martin. Przyszła zapytać, jak wypadły badania, a Henrietta musiała ją powiadomić, że trzeba ponownie pobrać krew, tym razem na czczo. Pacjentka bardzo się tym zaniepokoiła.

- Proszę się niepotrzebnie nie denerwować - uspokajała ją Henrietta. - Pierwsza próba dała wynik na granicy normy, więc laboratorium chce wykluczyć możliwość pomyłki. Tak czy owak, wkrótce poznamy przyczynę pani dolegliwości. A tymczasem antybiotyk poskutkował, bo widzę, że opuchlizna prawie znikła. Teraz trzeba jeszcze ustalić, dlaczego powstała, aby móc rozpocząć właściwą kurację.

Henrietta miała nadzieję, że tym razem pani Martin nie wróci do sprawy syna i tragedii, jaka miała miejsce przed jej przyjazdem, i tak się na szczęście stało. Pani Martin obiecała zjawić się nazajutrz na czczo na ponowne pobranie krwi, podziękowała Henriecie i wyszła. Niemniej po jej wizycie Henrietta znowu zaczęła się martwić, jak Matthew przyjmie powrót młodego Martina do rodzinnej wioski.

- Nie mogę się doczekać scenicznego debiutu Mollie i Keirana - wyznał Henriecie Matthew w środę rano.

- Ja też mam tremę - odparła z uśmiechem. Miała po temu inny jeszcze powód, o którym wolała nie mówić. Obawiała się, czy twarde szkolne krzesła i rozchodzący się po sali zapach potu zdenerwowanych uczniów nie pozbawią ich wspólnej wyprawy romantycznego uroku. No ale trudno. Jeśli Matthew naprawdę podzieli jej uczucia, takie przyziemne niegodności nie powinny mu przeszkadzać.

Bo też nadal nie miała pewności, co dzieje się w jego głowie i sercu. Wiedziała tylko, że przyciąga ją ku niemu jakaś przemożna siła. Ale co on o tym

myśli, i czy bodaj częściowo podziela jej uczucia, na te pytania nie umiała sobie odpowiedzieć. Gdyby miał jej coś ważnego do zakomunikowania, powinien był zrobić to już dawno, jest wszak człowiekiem, który nie owija niczego w bawełnę. Może polubił Mollie i Keirana i ze względu na nich szuka jej towarzystwa?

Za każdym razem, kiedy widziała, jak bawi się lub rozmawia z dziećmi, dochodziła do wniosku, że jest wprost stworzony do tego, by być ojcem. Ale pewnie on sam o tym wie i nie potrzebuje w tej kwestii jej rad czy wskazówek.

Kiedy wieczorem Henrietta, Matthew, Kate oraz dwójka dzieci zasiedli razem w jadalni, Matthew niespodziewanie zauważył:

- W rodzinnej atmosferze czuję się jak ryba w wodzie.

Oczywiście nie mówi tego na serio, pomyślała Henrietta. Z nas wszystkich tylko z Kate łączą go rodzinne więzy, dzieci są nie jego, a jego stosunek do mnie nadal pozostaje zagadką.

- No to postaraj się o własną - zauważyła Kate z lekką irytacją.

- Owszem, mam taki zamiar - odparł, po czym najspokojniej w świecie zabrał się do pałaszowania kolacji.

Przyjechał tu prosto z przychodni, więc miał na sobie swój codzienny ciemny garnitur, natomiast Henrietta po powrocie z pracy pobiegła na górę i szybko się przebrała w długą kremową spódnice i brzoskwiniovą bluzkę, która doskonale podkreślała kolor

jej cery i włosów. Nie liczyła na to, iż przeistoczy się w słodką uwodzicielkę, chciała jednak uwypuklić swoje fizyczne walory, które miały jej posłużyć do zdobycia serca ukochanego mężczyzny.

Wysiłki Henrietty nie przeszły niezauważone. Kiedy zeszła na dół, Matthew wprost oniemiał. Gdyby nie obecność Kate, która krążyła między kuchnią a jadalnią, oraz dwojga podnieconych, biegających po domu dzieci, byłby z miejsca chwycił ją w ramiona i całował do utraty tchu.

Zaraz po kolacji wsiedli do samochodu. Przez całą drogę w aucie panowała atmosfera nerwowego oczekiwania. Keiran i Mollie kręcili się niespokojnie na tylnym siedzeniu, usiłując opanować treść przed występem, natomiast siedzącą z przodu parę dorosłych paraliżowało podniecające poczucie własnej bliskości. Henrietta nie mogła oderwać oczu od wspartych na kierownicy rąk Matthew. Były to mocne sprawne ręce, o których wiedziała, jak czule potrafią się obchodzić z tymi, którzy oczekiwali od niego pomocy. Ręce, które na pewno umiałyby dać rozkosz. Po chwili myślała już tylko o tym, jak bardzo pragnęłaby poczuć ich pieszczotę.

Matthew musiał coś wyczuć, bo oderwał wzrok od drogi.

- Czemu się tak przyglądasz? - zapytał.
- Patrzyłam na twoje ręce.
- Czemuż to? -W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. - Sprawdzasz, czy mam czyste paznokcie? Boisz się, czy cię nie skompromituję przed kierowniczką szkoły?
- Nie, nie dlatego.

- Więc dlaczego? No, powiedz.
- Nie teraz.

Akurat w polu widzenia ukazała się szkoła i podniecenie dzieci sięgnęło szczytu. Wyjaśnienie kwestii jego rąk trzeba było odłożyć na później, jednakże Matthew był zdecydowany wrócić do tej sprawy przy najbliższej okazji. W trakcie parkowania samochodu oświadczył szeptem:

- Nie myśl, że wykręcisz się od odpowiedzi. W stosownym momencie dowiem się, co cię tak zafascynowało w moich dłoniach.

Henrietta udała, że nie słyszy, zajęta dla niepoznaki wysadzaniem dzieci z samochodu. Keiran i Mollie pobiegli od razu do oczekującej w korytarzu nauczycielki, a Henrietta i Matthew, pomachawszy im na pożegnanie, dołączyli do tłumu sadowiących się na widowni rodziców.

Przedstawienie było trochę rozwlekłe i przegadane, choć kilkoro starszych uczniów zabłysło aktorskim talentem, ale uwagę Henrietty i Matthew i tak przykuwały głównie dwie małe wierzby. Henrietta robiła im zdjęcia, przede wszystkim z myślą o wysłaniu ich Pamelii i Charlesowi.

Po skończonym przedstawieniu wszyscy zostali zaproszeni do jadalni na poczęstunek: herbatę i kruche ciastka dla dorosłych i soki owocowe dla uczniów. Korzystając z tego, że podekscytowani Mollie i Keiran trajkoczą jak najęci, Matthew szepnął Henriecie do ucha:

- Nie dziwi cię, że jeszcze nikt nie wziął nas za ich rodziców?
- A chciałbyś, żeby tak było?

Matthew spowaźniał.

- I tak, i nie. Z jednej strony nie miałbym nic przeciwko temu, z drugiej jednak, a mam tu na myśli dzieci, sam wolałbym się o nie postarać. Bo przy całej sympatii, jaką darzę Keirana i Mollie, nie mogę zapomnieć, do kogo należą.

Henrietta zaczerwieniła się, ale jego słów nie skomentowała. Nie była w nastroju do rozszyfrowywania zawoalowanych aluzji. Od człowieka, w którym była po uszy zakochana, oczekiwała jasnej, jednoznacznej deklaracji. Toteż uśmiechnęła się tylko chłodno i zmieniła temat.

- Chyba czas wracać do domu - zauważyła niemal obojętnym tonem. - Dzieci mają za sobą wyczerpujący dzień. Jutro na szczęście nie muszą wczesnie wstawać, ale nie powinny zarywać nocy. Kate zgodziła się przychodzić rano i być w domu do lunchu, więc jeśli zwolnisz mnie z popołudniowych dyżurów, miałyby zapewnioną opiekę na cały dzień.

- Ależ oczywiście, od jutra masz wolne popołudnia - zgodził się takim tonem, jakby nie zauważył, że Henrietta pominęła milczeniem jego wcześniejszą wypowiedź.

Po chwili zmierzali do samochodu zaparkowanego koło szkolnej bramy. Keiran szedł przodem, bawiąc się znalezioną gdzieś piłką, a parę kroków za nim Henrietta i Matthew prowadzili trzymającą się ich obiema rączkami Mollie. Nagle w bramę wjechał z rozpędem samochód, którego kierowca najwyraźniej nie panował nad kierownicą.

W środku widać było pochylonego bezwładnie

mężczyznę. Kozłujący piłkę Keiran nagle znieruchomiał, nie wiedząc, dokąd uciekać przed zbliżającym się ku niemu zygzakami samochodem. Henrietta rzuciła się siostrzeńcowi na ratunek, lecz Matthew był jeszcze szybszy. Dawszy potężnego susa, w ostatniej chwili zdołał wypchnąć przerażonego chłopca spod kół rozpędzonego pojazdu, lecz sam nie zdołał umknąć. Samochód uderzył w niego, po czym, skręciwszy gwałtownie w bok, wjechał w zaparkowany nieopodal pojazd i tam wreszcie się zatrzymał.

- Zostańcie tu! - krzyknęła Henrietta do przestraszonych dzieci. - Nie ruszajcie się na krok! - dodała, biegnąc w kierunku leżącego nieruchomo na ziemi Matthew.

Uklękała i pochyliła się nad ukochanym mężczyzną. Matthew leżał na wznak, był nieprzytomny, a wokół jego głowy tworzyła się kałuża krwi. Na szczęście oddychał. Szybko wyciągnęła z torebki telefon komórkowy.

- Pilnie potrzebne dwie karetki - rzuciła do słuchawki. - Podwójny wypadek przed szkołą podstawową w Moncreith. Dwie ciężko poszkodowane osoby, jedna nieprzytomna, druga chyba wraca do przytomności - dodała, podnosząc głowę i spoglądając w kierunku kierowcy rozbitego samochodu.

Tymczasem na parking wybiegali ze szkoły zaalarmowani hukiem rodzice i nauczyciele. Jedna z nauczycielek zajęła się Keiranem i Mollie, a kilku mężczyzn usiłowało otworzyć drzwi samochodu, aby wydobyć uwięzionego w środku kierowcę. Druga nauczycielka podbiegła do Henrietty, ofiarowując jej pomoc przy ratowaniu Matthew.

W tym momencie powietrze przeszył krzyk kobiety, za którą od strony szkoły biegła trójka dzieci:

- To nasz samochód! Co się stało?

Jednakże Henrietta niczego nie widziała ani nie słyszała. Liczył się tylko Matthew. Był ciężko ranny. Dla ratowania Keirana zaryzykował życie.

Boże, nie daj mu umrzeć! - modliła się w duchu. Matthew, kocham cię, nie opuszczaj mnie!

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nad Henriettą pochyliła się kierowniczka szkoły.

- Może mi pani powiedzieć, jak do tego doszło?

- Na parking wjechał samochód, którego kierowca chyba zemdlał, W każdym razie jechał prosto na Keirana. Doktor Cazalet rzucił się chłopcu na ratunek, ale sam nie zdążył odskoczyć. Wezwałam dwie karetki, lada chwila powinny przyjechać - wyjaśniła Henrietta.

Kiedy podniosła głowę, ujrzała stojącą obok nauczycielki dwójkę dzieci.

- Ciociu, czy wujek Matthew umrze? - zapytała przez łzy Mollie.

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie doszło - rzekła przez ściśnięte gardło. A zwracając się do kierowniczki, poprosiła: - Czy mogłaby pani zadzwonić do ciotki doktora Cazaleta i poprosić, żeby spotkała się z nami w szpitalu?

- Oczywiście - odparła nauczycielka. - Ale co będzie z dziećmi?

- Pojadą ze mną do szpitala, a potem coś wymyślę. Nie mam nikogo, z kim mogłabym je zostawić.

Ponownie pochyliła się nad Matthew, aby zmierzyć mu puls i osłuchać serce, które pracowało bardzo nieregularnie. Dlaczego nie ma jeszcze ambulansu? - pomyślała z rozpaczą, czując dotkliwie

swoją bezradność. Nie był to jednak czas na załamywanie rąk.

- A co z kierowcą? - zapytała, spoglądając na nauczycielkę.

- Przyszedł już do siebie. Słyszałam, jak ktoś mówił, że ma cukrzycę i zemdlął za kierownicą, bo zapomniał wziąć w porę insulinę. Przyjechał po dzieci, które chodzą do naszej szkoły.

Matthew w tej chwili wydał cichy jęk i otworzył oczy.

- Henrietta? - szepnął. - Boli mnie głowa.

- Wiem - powiedziała czule, oddychając z ulgą. - Nie ruszaj się, zaraz przyjedzie karetka. Upadłeś na plecy i uderzyłeś głową o beton. A poza tym chyba masz złamaną lewą rękę.

Powieki opadły mu, lecz nadal był przytomny.

- Gzy Keirenowi nic się nie stało?

- Zupełnie nic. Przeżył wstrząs, ale jest cały i zdrowy. Czego niestety nie można powiedzieć o tobie.

Obie karetki zajęły w jednej chwili. Pierwsza ekipa ratownicza natychmiast podbiegła do Matthew, a druga zajęła się nieszczęsnym kierowcą, który, podtrzymywany przez żonę, stał niezbyt pewnie na nogach kilka kroków dalej.

Henrietta w kilku słowach wyjaśniła okoliczności wypadku.

- Bądźcie bardzo ostrożni, ponieważ podejrzewam pęknięcie czaszki - dodała, kiedy ratownicy przynosili Matthew na nosze. - Ja z dziećmi pojadę za wami samochodem.

- Nie trzeba - zaprotestował Matthew. - Jedźcie do domu, dam sobie bez was radę.

- Nie ma mowy - odparła czule, ale stanowczo.
- Nie wyobrażaj sobie, że zostawię cię samego w tym stanie. Jedziemy do szpitala. Kate też tam przyjedzie.

W szpitalu wszyscy troje szli za jego noszami, najpierw na prześwietlenie, a potem do osobnego pokoiku izby przyjęć. Tu odnalazła ich Kate. Była blada jak papier.

- Wiem, jak wspaniale postąpiłeś, Matthew - rzekła drżącym głosem. - Ale nie odchodź, kochanie, chciałabym jeszcze zobaczyć twoje dzieci, zanim przyjdzie mi pożegnać się z tym światem.

- Nie martw się, Kate, nie zamierzam jeszcze umierać - odpowiedział Matthew z bladym uśmiechem. - Jeszcze zdążę zaleźć ci za skórę.

Kiedy pojawił się lekarz z plikiem rentgenowskich klisz, zapraszając jedną osobę na rozmowę, Henrietta wstała, by z nim pójść, lecz powstrzymała ją Kate.

- Zostań z nim, Henrietto. Na pewno chciałby mieć cię przy sobie.

Henrietta podziękowała jej spojrzeniem.

Obrażenia okazały się mniej poważne, niż można było sądzić. Łokieć wprawdzie został uszkodzony, ale czaszka pozostała bez urazu, nie stwierdzono też wewnątrzczaszkowego krwawienia. Jednakże skóra na tyle głowy wymagała paru szwów, a na rękę trzeba było założyć gips.

- Musi pan zostać kilka dni w szpitalu na obserwacji - oświadczył lekarz w bezpośredniej rozmowie z Matthew.

Matthew jęknął w duchu. Jak Henrietta poradzi sobie w przychodni, mając na głowie dwójkę dzieci? Ale powiedział tylko:

- Rozumiem, pan tutaj decyduje. - Zwracając się do Henrietty i Kate, dodał: - Nic tu po was, wracajcie do domu. Jutro porozmawiamy, jak zorganizować pracę w przychodni i opiekę nad Mollie i Keiranem.

Henrietta uśmiechnęła się. Strach o jego życie minął. A jeśli chodzi o dzieci, to może je przez kilka dni zabierać do przychodni. Wezmą ze sobą książki i gry, a recepcjonistka będzie ich miała na oku.

Pogłaskała czule zakrwawiony policzek Matthew i ucałowała go. On tymczasem chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Wiem, że to podziękowanie za uratowanie Keirana, ale ja wolałbym pocałunek nie z wdzięczności - wyznał cicho.

W tym momencie weszła pielęgniarka, żeby zabrać pacjenta do sali zabiegowej na zakładanie szwów i gipsu.

- Rozumiem, już wychodzimy - powiedziała Henrietta. A spoglądając na Matthew, dodała szepciem: - Jutro o tym porozmawiamy.

- Jak ty sobie poradzisz z Mollie i Keiranem, mając całą przychodnię na głowie? - zapytała Kate, kiedy ona i Henrietta wsiadły z dziećmi do samochodu. - Jeśli o mnie chodzi, to chętnie ci pomogę, będę przychodzić wcześniej. Parę godzin więcej nie robi mi różnicy, a zresztą to tylko kilka dni.

- Dziękuję ci, Kate, jesteś nieoceniona. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - odparła wzruszona Henrietta. I trochę załamującym się głosem dodała: - Mogłyśmy go stracić.

- Ciociu, czy to moja wina? - zapytał Keiran.

- Ależ nie, kochanie - zapewniła go Henrietta. - To był po prostu wypadek, a pan, który prowadził tamten samochód, też nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

Po odwiezieniu Kate do domu i ułożeniu dzieci do snu Henrietta zeszła do salonu, by w spokoju przemyśleć wydarzenia ostatnich kilku godzin. W swojej praktyce miała nieraz do czynienia z ofiarami wypadków. Wielu z nich nie udało się uratować. Dziś miała wielkie szczęście. Gdyby Matthew zginął, znalazłaby się w takiej samej sytuacji, jak on po stracie Joanny.

Niech dzieje się, co chce. Jutro pojedzie do szpitala i wyzna mu miłość. A jeśli Matthew nie odwzajemni jej uczuć? Na to pytanie nie umiała sobie odpowiedzieć.

Nazajutrz zadzwoniła do szpitala o szóstej rano i usłyszała, że noc upłynęła spokojnie. Co oznacza jedynie, że nie pojawiły się żadne dodatkowe komplikacje. Henrietta doskonale zdawała sobie sprawę, jak musi się czuć człowiek po tak ciężkim wypadku, nawet jeśli ma tylko złamaną rękę i rozciętą głowę. Odkładając słuchawkę, czuła, jak trudno jej będzie doczekać chwili, w której znowu go zobaczy.

Tymczasem jednak czekali na nią pacjenci w przychodni, wizyty domowe i sprawy administracyjne. Żadnego z tych obowiązków nie wolno jej było zaniedbać. Nie mogła zawieść ukochanego mężczyzny, który jej siostrzeńcowi uratował życie.

W przerwie na lunch zadzwoniła do Kate, aby się dowiedzieć, czy w domu wszystko w porządku.

- Oczywiście - odparła Kate. - Ale mam jedną

prośbę. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym po południu odwiedziła z dziećmi Matthew? Musieli-
byśmy jednak pojechać autobusem. Co ty na to?

- Jasne, że nie mam nic przeciwko temu. Zrobicie
mu przyjemność - stwierdziła, żałując, że nie może
się do nich przyłączyć. Na szczęście Kate obiecała
podać dzieciom kolację, aby Henrietta mogła wie-
czorem pojechać do szpitala.

A co z tego wyniknie, to dopiero się okaże. Albo
zrobi z siebie idiotkę, albo...

Zobaczyła go z daleka, w niewielkim ogródku
przylegającym do oddziału nagłych wypadków. Wy-
glądał mizernie, głowę miał częściowo wygoloną
i obandażowaną, ręka w gipsie spoczywała na opar-
ciu ławki. Długo potrwa, pomyślała, zanim odzyska
w niej pełną władzę.

Wizyta Kate i dzieci sprawiła mu radość, lecz
tęsknił przede wszystkim za Henriettą. Kiedy się po-
jawia, postara się wyjaśnić parę spraw. A mianowicie,
musi się dowiedzieć, co jest przyczyną jej rezerwy:
czy zachowuje wobec niego dystans, ponieważ nic do
niego nie czuje, czy też ponieważ jest przekonana, że
wspomnienie Joanny nadal nie pozwala mu się na
nowo zaangażować. Tak czy inaczej musi poznać
prawdę.

Był tak zajęty swoimi myślami, że zobaczył ją do-
piero, gdy znalazła się tuż obok niego.

- Jak się czujesz? - zapytała z uśmiechem.

- Teraz już lepiej, bo widzę ciebie - odparł. - Jak
spędziłaś dzień?

- W miarę normalnie. A jak tobie upłynął dzień?
- Był długi i obfitujący w przemyślenia.
- O! Mój był podobny. Też wiele myślałam i muszę ci coś powiedzieć.

Na jego twarzy odmalowało się napięcie.

- Więc mów, słucham - rzekł.
- Czy chcesz zostać moim mężem?

Na moment odebrało mu głos.

- Mówisz poważnie?
- Jak najpoważniej.
- Och, Henrietto! Od wielu tygodni pragnąłem ci zadać podobne pytanie, ale bałem się, czy nie pomyślisz, że chcę, abyś zastąpiła mi Joannę.

Henrietta zrobiła przeczący ruch głową.

- Jeśli tylko to cię powstrzymywało, to zapewniam cię, że zawsze pozostanę sobą, nigdy bym nie próbowała stać się kimś innym. Szanuję twoje uczucia dla niej, lecz my stworzymy nasze własne małżeństwo.

- Nie masz pojęcia, jak mądrze postąpiłaś, decydując się na osiedlenie się w naszej wiosce. Pomogłaś mi się wyrwać, a właściwie sama mnie wyrwałaś ze stanu otępienia - powiedział, nie mogąc ukryć wzruszenia. - Moja piękna Henrietto, oczywiście, że chcę zostać twoim mężem. - Objął ją zdrową ręką i przyciągnął do siebie. - Pocałuj mnie, mamy w tej dziedzinie wiele do odrobienia. - I zaczęli się całować, nie zważając na dwie obserwujące ich z okna uśmiechnięte pielęgniarki. - Kiedy moglibyśmy wziąć ślub? - zapytał, kiedy na moment oprzytomnieli.

Nie mogą się doczekać.

- Co byś powiedział na wesele we wrześniu, za-

raz po zbiorach? Pameli, Charlesa i dzieci już wtedy nie będzie, ale na wesele na pewno przyjadą.

- Znakomicie. Wesele po zbiorach - skwitował, spoglądając na nią rozmarzonym wzrokiem.

I faktycznie datę ślubu wyznaczono na koniec września, nazajutrz po dożynkach.

W sierpniu Pamela i Charles zjechali po dzieci do Białego Domu, a po paru dniach Henriecie przyszło pożegnać się z siostrzeńcami.

- Ale, ciociu, nie rozstajemy się na długo - przypomniała jej Mollie. - Mam być przecież druhną na weselu. I będę sypać kwiatki.

Wiść o ich ślubie szybko obiegła wioskę, wywołując ogólną radość. Wiele osób zadeklarowało pomoc przy urządzeniu wesela. Miejscowa krawcowa ofiarowała się uszyć Henriecie ślubną suknię. W wirze przygotowań czas szybko mijał, aż nadszedł piątek przed weselem, dzień przyjazdu szwagrostwa z dziećmi. Pamela pomagała siostrze w ostatnich przygotowaniach, a dzieci opowiadały o ich nowym skandynawskim domu.

Kiedy wieczorem przyjechali do sali zgromadzeń na dożynkową kolację, Henrietta szeroko otworzyła oczy z podziwu. Na prostych stołach podpartych kozłami i przykrytych śnieżnobiałymi obrusami porostawiano świeże chleby, najrozmaitsze rodzaje serów, marynaty, owocowe napoje. Z boku zaś, przy mniejszych stołach, stała grupa farmerów gotowych kroić umieszczone na podgrzewaczach mięsiwo - wielkie ichaby, wołowe pieczenie, indyki i jagnięcinę.

- Niesamowite - westchnęła Henrietta.
- To jeszcze nie wszystko - wtrącił Matthew.

W sąsiednim mniejszym pokoju czekają wielkie szarlotki ze świeżych jabłek z bitą śmietaną. To nasz tradycyjny deser w dzień dożynek.

Dzieci szalały z radości, a Kate wodziła za nimi rozpromienionym wzrokiem. Zresztą uśmiech nie znikał z jej twarzy, odkąd usłyszała, że jej siostrzeniec żeni się z Henriettą. Powiedziała mu wtedy:

- Jak tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że spełni się moje największe marzenie.

Następnego dnia miała razem z Pamelą zasiąść w kościele w pierwszym rzędzie i patrzeć, jak prowadzona przez Charlesa panna młoda w białej sukni będzie szła do ołtarza na spotkanie z panem młodym.

Na dożynkowej kolacji pojawiło się również kilku pacjentów. Był między nimi Daniel, a jego wózek pchała młoda pielęgniarka, którą poznał podczas niedawnego pobytu w szpitalu. A także Meriel Martin, u której po powtórnych badaniach stwierdzono podagrę.

- Aleja nie biorę alkoholu do ust! - obruszyła się.
- Niestety, na podagrę zapadają również niepijący - poinformowała z uśmiechem Henrietta.

Pod koniec tamtej wizyty pani Martin wróciła do ich pierwszej rozmowy.

- Pamięta pani, jak mówiłam, że brakuje nam naszego syna i zamierzamy go sprowadzić z powrotem do domu? Otóż on niedługo wraca.

Henrietta trochę się bała, jak Matthew przyjmie tę wiadomość, lecz on odparł:

- Dla mnie to już sprawa zamknięta. Dzięki tobie

uwolniłem się od demonów przeszłości. Tego, co się stało, nie da się odwrócić, niemniej teraz, kiedy go zobaczę, będę w stanie normalnie z nim rozmawiać.

I rzeczywiście. Śledząc wzrokiem krążącego po sali Matthew, spostrzegła w pewnej chwili, jak podchodzi do państwa Martinów i wita się zarówno z nimi, jak i z ich synem.

Gdy zebrani usadowili się przy stolach, zabrał głos pastor.

- Wszystkim zapewne wiadomo, że oprócz dzisiejszej uroczystości w obecny weekend czeka nas jeszcze jedno ważne wydarzenie. A będzie nim ślub dwojga szanowanych członków naszej społeczności, naszego nieocenionego doktora Matthew Cazaleta, którego znamy od lat, i Henrietty, również lekarki, która niedawno przeniosła się do naszej wioski z wielkiego miasta, aby zadbać o nasze zdrowie, a z powodu siedzącego obok niej mężczyzny postanowiła zostać z nami na stałe. Życzymy im obojgu wiele szczęścia!

Henrietta ze wzruszeniem wysłuchiwała słów pastora. Były dla niej kolejnym potwierdzeniem, że dobrze zrobiła, zmieniając swoje życie. Jadąc do wioski, by zająć się siostrzeńcami, nie przypuszczała, że tutaj spełni się jej marzenie.

Tak więc wrzesień stał się dla Henrietty miesiącem początków: uroczego ślubu w wiejskim kościółku, na którym zjawili się chyba wszyscy mieszkańcy, i przeprowadzki do domu Matthew, który z takim zapałem niedawno odnawiała.

Nie obyło się jednak bez smutku, jakim było pożegnanie z dwójką uwielbianych dzieci. Przy rozstaniu Keiran i Mollie uroczyście przyrzekli pisać do niej najczęściej, jak tylko będzie to możliwe.

I tak pewnego chłodnego październikowego dnia Matthew zastał zasmuconą Henriettę nad ozdobionym kolorowymi rysunkami listem siostrzeńców. Przytulił ją do siebie.

- Wiesz, że kocham ich nie mniej niż ty. - powiedział.

- Wiem. I wiem też, że miejsce dzieci jest przy rodzicach. Ale kiedyś wrócą, a jeszcze wcześniej przyjadą do domu na wakacje.

- A kiedy przyjadą, nasza słodka tajemnica będzie już powszechnie znana i będą mogli poznać swojego małego kuzyna. Albo kuzynkę - dodał Matthew, składając na jej czole czuły pocałunek.